

ROLA

Rok VII.
Kraków, dnia 14 września 1913 r.
Nr. 37.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 2346.

Odsiecz Wiednia.

Dawniej Turcya była najpotężniejszem państwem na świecie. Wojna bałkańska zadała jej jednak cios, z którego zapewne już nigdy się nie podźwignie. Pierwsi atoli złamali potęgę Turcyi Polacy pod Wiedniem jeszcze przed 230 laty.

W r. 1683 wielka armia turecka, licząca 500.000 żołnierza, obległa Wiedeń. Wielki wezyr, Kara Mustafa, dowodził armią; połączyli się z nią: Chan tatarski, hospodarowie wołoski i mołdawski, oraz powstańcy węgierscy pod dowództwem Emeryka Tekelego.

Wiedeń posiadał tylko 15.000 załogi; dowodził nią hrabia Stahremberg. Prócz tego miał tylko jesze cesarz 24.000 wojska, które pod dowództwem Karola ks. lotaryńskiego stało na równinach Morawii. Położenie cesarza Leopolda było rozpaczliwe; usunął się do Lincu i wysłał poselstwo do Jana Sobieskiego, w którym pokładał całą nadzieję ocalenia.

Do poselstwa cesarza przyłączył się także nuncyusz papieski, Pallavicini. Razem z hr. Waldsteinem, posłem cesarskim, upadł on do nóg Sobieskiemu w Wilanowie, błagając go, aby ratował Wiedeń i chrześcijaństwo.

Król Jan zebrał czemprędzej rycerstwo, a wysławszy przodem kilka tysięcy rycerstwa i piechoty pod hetmanami Jabłonowskim i Sieniawskim, dnia 15 go sierpnia wyruszył z szesnastoletnim synem, Jakóbem, na czele głównej armii z Krakowa.

Szedł przez Śląsk, Morawy i już 7-go września przeprawił się przez Dunaj pod Tulmem, gdzie mu elektor bawarski przyprowadził 8.000 Bawarczyków.

Naczelne dowództwo, tak nad wojskami niemieckiemi, jak i polskiemi, objął Jan III

Ciągnąc najgorszemi drogami, cierpiąc niedostatek, gdyż nie przygotowano należytych zapasów, odbywając noclegi bez namiotów, zajęło wojsko królewskie 10 go września obronne stanowisko na górach Kahlenberg i Leopoldsberg, na których rozniecono ogniska, aby tymi znakami pocieszyć mieszkańców Wiednia i zawiadomić o blizkim ratunku.

Sobieski, obejrzawszy z góry olbrzymi obóz turecki, był pewien zwycięztwa i w te odezwał się słowa:

— »Mówiąc po ludzku, a pokładając wszelką nadzieję w Panu Bogu naszym, musi nieprzyjaciel wielką odnieść konfuzyę, bo się ani okopał, ani ścisnął obozu w kupę, ale tak stoi, jakbyśmy na sto mil od niego byli«.

Dnia 12 września 1683 r. pod Wiedniem, na dwie godziny przed wschodem słońca, modlił się już Sobieski w kaplicy obozowej, następnie służył do mszy kapucynowi, ks. Aviano, którego papież umyślnie z błogosławieństwem swojem dla króla przysłał. Po mszy św., przypomniawszy Polakom zwycięztwa, dał znak do bitwy, która rozpoczęła się szczęśliwymi harcami na całej linii. Wojska były w ten sposób ustawione, że na prawem skrzydle stali Polacy, a na lewem Sasi i ochotnicy pod Hieronimem Lubomirskim, a w środku wojska austryackie i bawarskie, ogółem 50.000 ludzi.

Sobieski skierował atak w samo serce obozu tureckiego, ku namiotom wielkiego wezyra. Posiłki niemieckie wspierały dzielnie króla w tym ataku; artylerya, pod kierownictwem Marcina Kątskiego, zmiatała szeregi tureckie. Lubomirski z ochotnikami dotarł pierwszy pod mury Wiednia, a tymczasem »chorągiew królewicza Aleksandra« rozstrzygnęła zwycięstwo, zadając ostatni cios Turkom, którzy w najhaniebniejszą rzucili się ucieczkę. O siódmej wieczorem oswobodzony był Wiedeń. Królewski buńczuk zatknięto w namiocie wielkiego wezyra, który uciekł sromotnie, zostawiając cały obóz w rękach zwycięzców, a mianowicie: 125.000 namiotów, 9.000 wozów, 280 dział, mnóstwo koni, wielbłądów, wielką ilość kawy, kosztowne dywany i wiele innych cennych rzeczy.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

49. KOBIETA NA WOZIE.

Chora Teresa. — Zakaz lekarza. — Trudne położenie. — Wyjaśnienie w gazecie. — Wyjazd nocny.

Miotany gniewem i niepokojem, zawróciłem Burczymuchę, który szedł bardzo skrzywiony, trzymał się za brzuch i pytał:

— Uciekł?

— A! żeby cię, szelmo... mopanku... za życia robaki zjadły, ażebyś skiśniał! To ci mi hycel poczęstował!

— Co się stało? — pytam — jak to było?

— A jak! Kiedy pan porucznik uwierzył temu wisielcowi, że tam w budzie siedzi jakiś Biały, to ja, mopanku, nie uwierzyłem... Ten łotr widocznie łgał, a ja jestem stary wyjadacz i mnie w pole nie wyprowadzi. O! już mi lepiej, ale też hycel ma twardy łeb.

— A cóż on ci zrobił?

— A szelma, tak mię łbem palnął w brzuch, żem, mopanku, odrazu koziołka fiknął, i boję się, czy mi tem żołądka, albo z przeproszeniem bebechów nie nadwerężył. Ho! ho! wiedział on, czem to pachnie. Bo tam, panie poruczniku, nie żaden Biały siedzi w budzie, ale leży nieprzytomna, a może umarła i powiązana sznurami ta piękna dama, co to ją widzieliśmy w chacie tego łotra, gdy się generał Bosak przeprawiał, i którą w Warszawie nasi nazywali panią Teresą. Ale mię też łajdak zdzielił, a bodaj cię, mopanku, wszy zjadły!

Nie słuchałem już tego, ale jednym skokiem znalazłem się przy budzie, stojącej ciągle na podwórzu, pod potokami ulewnego deszczu. Tak, to była ona, owa piękna pani Teresa. — Leżała na wznak na poduszkach powozu, z twarzą do połowy owiniętą chustką, blada śmiertelnie, z oczami zamkniętemi, z rękami skrępowanemi, nieżywa, sądząc według wszelkich pozorów. Jaki dramat się rozegrał, jaką rolę w nim odegrał ponury i nieokrzesany Jan, skąd się wzięła tutaj ona, którą zostawiłem uwięzioną w cytadeli w Warszawie? oto pytania, na które oczywiście w tej chwili odpowiedzi znaleźć nie mogłem.

Ale nie czas było myśleć o tem wszystkiem. Może w tem pięknem ciele tkwi jeszcze iskra życia, którą rozdmuchać należy. Zawołałem narzekającego i klnącego ciągle Burczymuchę i wspólnemi siły wydobyliśmy z powozu nieszczęśliwą. Zdawała się być martwą, ciało na naszych rękach gięło się i łamało, a to, com teraz zobaczył, grozą mię przejęło. Obie dłonie pani Teresy, szal, który miała zarzucony na sobie, suknia cała, były zbroczone krwią.

— A, łotr, zamordował ją! — zawołałem.

Burczymucha przygryzł wąs i mruknął:

— No, niech ten łajdak wpadnie w moje ręce, zduszę szelmę jak szczenię!

Zanieśliśmy biedne ciało do alkierza, gdzie, przyłożywszy rękę do piersi, uczułem słabe bicie serca. A! więc jeszcze żyła. Józefina i żona oberżysty zajęły się coprędzej cuceniem pani Teresy, a samego oberżystę ja wysłałem po doktora. Dzięki tym wszystkim zabiegom pani Teresa przyszła wkrótce do siebie, ale była tak osłabiona, że lekarz zabronił wszelkiej z nią rozmowy i wszelkich wzruszeń, gdyż życie w tej nieszczęśliwej, ofiarnej istocie na słabej, wątłej nici się trzymało. Według zdania lekarza, należało koniecznie, by chora choć tydzień wypoczęła. Wytłómaczyłem mu, że to jest niemożliwe, że ani ona, ani my tak długo w tem miasteczku, leżącem przy przy drodze bitej, którą ciągle przechodziły oddziały nieprzyjacielskie, pozostawać nie możemy, że trzebaby wszystko robić, by najdalej jutro rano chora razem z nami puścić się mogła w dalszą drogę. Postanowiłem bowiem zabrać panią Teresę i umieścić ją także w Bardzie u mojej ciotki. Ale młody lekarz był niewzruszony.

— To jest niemożliwe — rzekł — ta pani potrzebuje koniecznie dłuższego spoczynku i ja na swoją odpowiedzialność życia jej brać nie chcę.

Cóż było robić? Pomimo widocznego, grożącego nam w każdej chwili niebezpieczeństwa, zdecydowaliśmy się z Józefiną czekać do jutra rana. Jeżeli się chorej nie polepszy, z żalem mieliśmy ją pozostawić na opiece oberżysty.

Takie było położenie, które jednak w niczem nie wyjaśniało, skąd pani Teresa znalazła się tutaj w towarzystwie Jana, i skąd ta krew, którą miała na rękach i sukni, pochodziła. Okazało się bowiem, że na jej ciele nie było najlżejszej nawet rany. Mnie przytem męczył zagadkowy stosunek tej wykwintnej kobiety do takiego prostaka, jakim był Jana, stosunek, który mię już wtedy, tam w chatce przemytnika, w chwili przeprawy generała Bosaka, uderzał. Pani Teresy pytać nie można było; najprzód lekarz tego jak najsurowiej zakazał, a potem ona sama była na pół nieprzytomna, senna jakaś i milcząca jak grób.

Pozostawaliśmy więc w zupełnej nieświadomości, robiąc najróżnorodniejsze przypuszczczenia, gdy nad wieczorem oberżysta przyniósł świeżo przybyłeocztą z Warszawy listy i gazety, a między niemi, czytany niegdyś przezemnie na ulicy Złotej, urzędowy organ »Dziennik powszechny«. Nie przypuszczając, bym tam mógł w nim co ciekawego znaleść, przez proste przyzwyczajenie wziąłem go do ręki i na samym wstępie, gdzie zwykle drobnym drukiem pomieszczano wiadomości urzędowe, znalazłem tytuł tłustem pismem odbity:

NOWE MORDERSTWO STRONNICTWA BEZRZĄDU.

Relacya była jasna, treściwa i brzmiała jak następuje:

»Dnia dzisiejszego, o samym świcie, straż, złożona z lekkiej kawaleryi, objeżdżając, według raz zaprowadzonego porządku, okopy miejskie, znalazła w rowie zwłoki zakłutego sztyletem w sposób barbarzyński jednego z najczynniesszych i najenergiczniejszych policyantów prawej władzy, znanego pod nazwiskiem Sylwestra. Śledztwo na miejscu przeprowadzone okazało, że w pobliżu miejsca zbrodni, stała bryczka, zaprzężona w parę koni i ślad tej bryczki znaleziono aż do miejsca, gdy wjechała na drogę bitą, gdzie oczywiście ginął. Na parę dni przedtem Sylwester wyjednał pozwolenie władzy na przeniesienie z kazamatów twierdzy do więzienia miejskiego niejakiej Teresy, oskarżonej, że brała udział w zamachu na hrabiego Berga. Nocy dzisiejszej kobieta ta zdołała zbiedz z więzienia, a wieczorem widziano Sylwestra w towarzystwie jakiegoś krępego mężczyzny, kręcącego się koło gmachu rzeczonego więzienia. Zdaje się, że między ucieczką rzeczonej zbrodniarki Teresy, a morderstwem Sylwestra zachodzi ścisły związek. Władze nakazały jak najenergiczniejsze śledztwo. Na wszystkie strony wysłano konne oddziały lekkiej jazdy i policyantów, pod ogólnym kierunkiem kapitana Rotkircha, (który, z radością o tem donosimy naszym czytelnikom, przyszedł już zupełnie do zdrowia), dla wyśledzenia owej bryczki i owego mężczyzny, z którym widziano po raz ostatni Sylwestra. Mamy nadzieję, że wkrótce będziemy w możności donieść, że nowa zbrodnia stronnictwa bezrządu, splamionego tylu morderstwami, znalazła zasłużoną karę«.

Opowiadanie to rzucało na tajemniczą historyę pani Teresy jasne światło. Widocznem było, że Syl-

wester przy pomocy Jana, (bo nikt inny owym krępym mężczyzną być nie mógł), wykradł z więzienia miejskiego panią Teresę, i uniósł ją aż do okopów, gdzie przez Jana, dla powodów trudnych do odgadnięcia, został zamordowany. Krew na rękach i sukniach pani Teresy, była krwią jej męża.

Ale co było w tem wszystkiem najgroźniejszego, to, że według relacyi dziennika rozesłano konne oddziały na wszystkie strony, pod ogólnym kierunkiem Rotkircha, który z pewnością ścigając zbrodniarza, głównie jednak ściga swą zbiegłą żonę. Niebezpieczeństwo było groźne. Miasteczko, w którem zatrzymaliśmy się, leżało przy drodze bitej i zaprawdę dziwną było rzeczą, że dotąd w niem nie pokazali się żołnierze Rotkircha. Ale jeżeli się nie pokazali, to mogą się lada chwila pokazać i byłoby wierutnem głupstwem i szaleństwem czekać tu dłużej.

Nie tracąc więc czasu, zawołałem oberżystę, kazałem mu zaprzęgać do dorożki, pozostawionej przez Jana i zażądałem, by nas przez parę mil bocznemi drogami powiózł dalej. Zgodził się na to chętnie i za chwilę, ja, Józefina i Burczymucha wymykaliśmy się boczną bramą w pole, w kierunku onych gęstych krzaków i lasu. Wieczór już zapadał, deszcz lał po dawnemu, mgły włóczyły się po polach i otucha we mnie wstąpiła. Gdyśmy wjeżdżali do lasu, zdawało mi się, że wiatr przyniósł tentent koni, pędzących po gościńcu i brzęk szabel, ale może mi się to zdawało tylko...

Oberżysta wiózł nas przez pół nocy po zapadłych dziurach i drogach, i gdyśmy się zatrzymali dla odpoczynku w jakiejś chatce w lesie u znajomego mu karczmarza, pożegnał nas, życząc szczęśliwej drogi. Wręczyłem mu nieco rubli dla pani Teresy, oraz kartkę, którą poleciłem jej oddać, gdy przyjdzie do siebie. W kartce tej prosiłem, by przybywała do Bardo i wskazywałem, którędy i jakim sposobem bezpiecznie ma się tam dostać.

50. POWRÓT DO ODDZIAŁU.

Droga do Bardo. — Opieka ciotki. — Poszukiwanie obozu. — Przed bitwą. — Złe położenie. — Pierwsze strzały.

Dobiliśmy do Bardo szczęśliwie, jakkolwiek nieraz musieliśmy nakładać drogi, krążyć, omijać niektóre miejscowości, w których miały się znajdować oddziały wojsk rosyjskich. Kręciły się one na wszystkie strony i dość głośno mówiono o wielkiej wyprawie, którą przedsięwziął nieprzyjaciel ze znacznemi siłami przeciw organizującemu się w górach Świętokrzyskich, generałowi Bosakowi. Wiadomości te podniecały mię nadzwyczajnie i pragnąłem lotem ptaka dostać się do obozu, do moich towarzyszy, do mego dzielnego plutonu, który tak dawno opuściłem i przyjąć udział w gotujących się, niewątpliwie licznych i zaciętych walkach. Teraz dopiero poznałem jakie nieocenione skarby miłości, poświęcenia, heroizmu i kobiecej łagodności mieściło w sobie serce mej Józefiny. Ileż to razy, tłukąc się wśród deszczu, który przez cały czas podróży naszej padał, po borach, wąwozach i przepaścistych skałach, traciłem cierpliwość, niepokoiłem się nadzwyczajnie o jej i swój los, zależny w tej chwili od przypadku, od pierwszego lepszego podjazdu nieprzyjacielskiego, a ona swym spokojem, swem różowem, zawsze jednakowem usposobieniem dodawała mi odwagi i koniecznej w takich razach krwi zimnej.

W Bardzie przyjęła mię ciotka z radością, zdziwieniem i obawą. Zdziwienie miało swe źródło w widoku Józefiny, którą zarekomendowałem jako mą narzeczoną, prosząc ciotkę, by ją przyjęła i opiekowała się nią aż do ukończenia tej nieszczęśliwej wojny, aż do chwili, w której będę mógł zaślubić moją ukochaną. Staruszka ciekawie przypatrywała się Józefinie, miała jakieś podejrzenia, a może coś słyszała, ale pomna praw gościnności, ofiarowała siebie i swój dom na usługi gościom. Oczywista rzecz, nic nie mówiłem o istotnem położeniu Józefiny, ani o jej stosunku do mnie, bo najprzód wcale to było niepotrzebne, a potem nie chciałem zakłócać spokoju i sumienia mej ciotki. I tak w jej dom cichy, w którym wszystko szło według porządku, od lat kilkudziesięciu przyjętego, w którym o jednej godzinie wstawano, jadano, kładziono się spać, gdzie panowała atmosfera ładu i wysoko nastrojonej moralności, nasze przybycie musiało niemały zamęt, chaos i niepokój wywołać. Ciotka, zgadzając się na przyjęcie Józefiny, której zaraz oddano do dyspozycyi niewielki pokoik od ogrodu, błękitną materyą wybity, umeblowany dostatnio, choć nieco z staroświecka, za nic nie chciała, bym długo bawił pod jej dachem.

— Niema dnia — mówiła — żeby tu nie wpadały podjazdy nieprzyjacielskie. Teraz ich wszędzie pełno, kręcą się jak opętane. Jeszcze cię tu złapią lub zabiją. Uciekaj więc i bądź spokojny o twoją narzeczoną.

Zabawiłem więc niedługo, kilka godzin zaledwie i uważałem, że Józefina swym taktem w postępowaniu, umiejętnością obejścia, dobrem wychowaniem powoli zyskiwała serce staruszki, tak, że ta, na odjezdnem mojem mówiła mi:

— Twoja Józefina podoba mi się, choć jest nadzwyczaj smutna.

— Ba! moja ciociu, cieszyć się i weselić niema czego.

— I to prawda. Ciężkich dożyliśmy czasów. Ale uciekaj, bo cała drżę o ciebie.

Siadłem więc na bryczkę i wyjechałem, wypytawszy się wprzód, gdzie może znajdować się obóz generała Bosaka. Dokładnie nie umiano mi nigdzie powiedzieć, choć pytałem się o to po drodze wszystkich. Wczoraj był tu, onegdaj tam, ciągle jest w ruchu i marszach, mówiono. Radzono mi wszędzie zachowywanie jak największej ostrożności, gdyż cała okolica przepełniona jest wojskami nieprzyjacielskiemi. Jechałem więc bocznemi drogami, po górach i wąwozach, czasem na przełaj, przez bory i pola, wreszcie trafiłem na ślad oddziału naszego i pędząc za nim całą noc, dopędziłem go na parę godzin przed świtem we wsi Ociosańce.

Z jakąż radością, jakże mi wesoło serce zabiło, gdym, zbliżając się do wsi wczesnego świtu jesiennego, pełnego chmur i mgieł posępnych, ujrzał na drodze konną widetę i chorągiewkę na lancy ułana i usłyszał głośne pytanie:

— Kto jedzie?

Obóz zastałem już w ruchu, pomimo, że ledwie niebo szarzało na wschodzie. Wieś, w której nocowano, tworzyła jedną długą ulicę, na końcu której znajdował się dwór, gdzie jenerał i cały sztab kwaterował. Ulica ta zajętą była mnóstwem podwód, dochodzących do kilkuset wozów i koni, użytych do przewiezienia piechoty, w celu szybszego wymknięcia się z obławy nieprzyjacielskiej. Gwar i zamęt tu był nie do opisania. Wozy zaprzęgano, liczni jeźdźcy napędzali woźniców, by się śpieszyli, a droga tak była zatarasowana, że musiałem pieszo przemykać się dla dostania się do domu. Straciłem na to dużo czasu i świt się już robił, gdy dobiłem się nakoniec do kwatery głównej.

Na ganku, pod murowanymi filarami, stał generał Bosak, otoczony swoim sztabem, nadzwyczaj niespokojny jakiś, wydający rozkazy, szepczący ze

swym szefem sztabu, pułkownikiem Zygmuntem Chmielewskim. Przedstawiłem się tym panom, a generał spojrzał na mnie i zawołał:

— A! porucznik Walery? Z czem przyjeżdżasz?

— Z niczem generale, wracam do szeregów.

— Ach, tak! To dobrze... Nie masz żadnych depesz?

— Nie mam.

— Trafiłeś poruczniku na złą chwilę, jesteśmy ścigani przez przeważającego nieprzyjaciela. Lada chwila spodziewam się bitwy...

— Sądzę, owszem, że to dobra chwila — odrzekłem.

Ale generał już nic nie rzekł, odwrócił się i rozkazywał:

— Na koń, panowie!

Rzucono się do koni a ja zostałem na ganku, nie wiedząc, co ze sobą robić. Byłem bez broni, prócz rewolweru, który ze sobą z Warszawy wywiozłem i nie miałem konia. Na szczęście zjawił się Burczymucha i przewidując, że tak będzie, przyprowadził mi osiodłaną jakąś szkapę i szablę. Podziękowałem mu za tę przezorność, dosiadłem konia, szablę przypasałem i nie mając nic innego do roboty, puściłem się za sztabem.

Z trudnością wydobyliśmy się z pośrodka podwód na pole za wieś. Tam już stały z bronią do nogi dwa bataliony piechoty, a jazda mogąca wynosić do dwustu koni, częściami wymykała się przez inne wymykała się przez inne wyloty ze wsi i formowała obok piechoty. Generał i cały sztab zatrzymał się, czekając na coś, na co, nie wiem, ja tymczasem począłem się rozglądać po obecnych, czy kogo ze znajomych nie zobaczę. Znalazłem ich kilku; witali mię radośnie, ale wszyscy byli mocno skłopotani i zaniepokojeni wiadomościami, jakie sztab otrzymał nad ranem. Nieprzyjaciel zbliżał się z dwóch stron, a każda jego kolumna przewyższała co do liczby oddział generała Bosaka.

— A ileż my liczymy ludzi? — spytałem.

— Mamy trzy bataliony piechoty po 500 do 600 ludzi, ogółem 1500 do 1800 bagnetów i 200 koni jazdy.

— A dział?

— Ani jednego. Prócz tego, trzeba ci wiedzieć, kolego, że te dwa oto bataliony, które tu widzisz, są dobrze uzbrojone, umundurowane i wyćwiczone. Trzeci zaś, który został we wsi i stanowi naszą straż tylną, jest złożony z chłopów, nazywają go nawet chłopskim batalionem. Zbieranina to mająca broń różnego kalibru, nieumundurowana, bez butów, niekarna, tak, że na niego nic liczyć nie można. Przy pierwszym strzale rozleci się to do wszystkich dyabłów. Jednem słowem jest źle!

Nie były to pocieszające wiadomości, a w końcu dowiedziałem się, że mój dzielny pluton, z którym tyle miesięcy bojów i wszelkiego rodzaju przygód przeżyłem, oddany był w mej nieobecności komu innemu. Słuchałem tego wszystkiego smutny, zniechęcony, rozczarowany zupełnie, zapatrzony na bielejące na wschodzie niebo, na ponury świt posępnego poranku jesiennego, wsłuchując się w gwar nieznośny, który ze wsi dochodził z pośrodka podwód, które jakoś w żaden sposób z ciasnej ulicy wiejskiej wydobyć się nie mogły.

Nagle usłyszałem głos generała:

— Kiedyż u stu dyabłów wylezie ten trzeci batalion! Hej! poruczniku Adamie! biegnij mi do wsi i powiedz majorowi Markowskiemu, by rzucił podwody, a z batalionem śpieszył tutaj. Powiedz mu, że jak się nie pośpieszy, to go zostawię z jego zbieraniną i niech ich dyabli porwą!

Pan Adam, adjutancik, świeżo upieczony, wystrojony jak z igły, pełen epoletów i świecidełek, spiął konia i pogalopował do wsi, a tymczasem dwa bataliony poczęły się formować w kolumnę marszową i powoli ruszać. Dzień robił się szybko, lekki i zimny wiatr się zerwał, czas powoli upływał, a trzeciego batalionu widać nie było, jeno wrzawa we wsi zdawała się wzmagać i wśród ciszy poranku rozchodzić daleko.

Nagle wśród tej ciszy przed czołem poruszającej się już kolumny, rozległ się strzał jeden, potem drugi i trzeci. Jakby iskrą elektryczną dotknięte bataliony zatrzymały się na miejscu i zdawało się, że cała ta masa ludzi i koni wstrzymuje w sobie oddech, nadsłuchując pilnie, co źle mi wróżyło o jej gotowości bojowej. Niebawem pikiety konne, pozostawione na swych stanowiskach na drodze, którą miano maszerować, ukazały się w pędzie, donosząc, że liczne kolumny nieprzyjacielskie wysuwają się z lasu, który czerniał przed nami.

Jenerał spiął konia i otoczony całym swym sztabem, wśród którego i ja ciągle znajdowałem się, popędził na wzgórze, sterczące z boku drogi, skąd szerszą przestrzeń można było dostrzedz, by przypatrzyć się owym nieprzyjacielskim szeregom. Widać je było, jak wysuwały się wolno, niby wąż najeżony, lśniącymi pod słońce bagnetami. Jazda, piechota, armaty wypadały pędem na pole, migotały się pod ślicznie wschodzącem słońcem, szykując się do boju. Generał patrzał na to wszystko i powoli wydawał swym adjutantom rozkazy, z których mogłem się przekonać, że zamierza przyjąć bitwę, choć nieprzyjaciel był o wiele silniejszy. Jakie powody kierowały tu generałem Bosakiem, nie wiem.

Rozkazy zresztą, które wydawał, tak były liczne, że niebawem wszyscy adjutanci się rozlecieli, wszyscy dowódzcy oddziałów pobiegli na swe stanowiska i przy generale na owem wzgórzu, zostałem tylko ja i paru ordynansów. Nagle jakiś donośniejszy krzyk ze wsi, przypomniał generałowi grzebiący się tam jeszcze trzeci batalion.

— Milion set dyabłów! — zawołał z gniewem — co się dzieje z tym trzecim batalionem? Mój poruczniku — zwrócił się do mnie — leć do wsi i napędź tam ich, bo dalibóg na nich czekać nie będę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POLACY ZOSTALI...

Prusacka żmija swym jadem trucizny
Chce zabić wiernych synów swej ojczyzny
I choć już miliard na śmierć ich wydali —
Marki zginęły, Polacy zostali.

Darmo Hakata sili się i wścieka,
Szukając środków niegodnych człowieka,
Aby nas zgubić; dyabłu się sprzedali,
Lecz wszystko na nic — Polacy zostali!

Im większy ucisk, im większe bezprawia,
Tem większą rozpacz Prusakowi sprawia,
Bo ciemiężeni, jakgdyby ze stali,
Są nieugięci i sobą zostali.

Świat cały patrząc na zbójeckie czyny,
Na pruską hańbę, na polskie wawrzyny,
Milczy, lecz kiedyś, choć późno przychwali,
Że Prusak skonał, Polacy zostali.

Jan Januszewski.

Pod gorącem niebem Afryki.



Przebywanie stałe pod skwarnem niebem Afryki, przebywanie rozłożone na długie miesiące i lata, jest dla Europejczyka, ze względu na klimat tamtejszy, bardzo przykre. Co innego podróż parotygodniowa lub paromiesięczna dla poznania kraju, roślinności, mieszkańców, ich zwyczajów i obyczajów — a co innego pobyt obowiązku wśród skwaru afrykańskiego słońca. Niestety jednak wielka ilość Europejczyków skazaną jest na życie w tej części świata. Do nich należą wojska oraz cywilni urzędnicy państw europejskich, które pozajmowały poszczególne kraje afrykańskie, czyniąc z nich tak zwane »kolonie«. W Afryce posiadają kolonie Francuzi, Anglicy, Niemcy, a niedawno temu Włosi zdobyli rozległy, północno-afrykański kraj, Trypolis.

Obrazek nasz przedstawia osadę murzyńską w południowej Afryce, w Kamerunie, stanowiącym kolonię niemiecką. Podróżnicy niemieccy zatrzymali się pośród lasu dziewiczego w porze obiadowej. Murzyni, służący im, rozłożyli przenośne namioty i zajęci są właśnie chłodzeniem trunków w butelkach. Chłodzenie to odbywa się tam w niezwykły sposób. Na sznurze przywiązanym między drzewami wiesza się w płótnach butelki, polewa się je ustawicznie wodą z pobliskiego źródła, a równocześnie huśta się sznur, na którym wiszą. Nie bardzo zapewne, ale przynajmniej cokolwiek ochłodzi się w ten sposób trunki, przywiezione z Europy lub sporządzone w Afryce, które ci spragnieni Europejczycy wypiją.

Uroczystości na Jasnej Górze.

Uroczystości poświęcenia Stacyi Męki Pana Jezusa na Jasnej Górze w Częstochowie były dowodem, że nie osłabła w narodzie polskim wiara, która u stóp naszej Królowej w Częstochowie gromadzi, jak ongiś wszystkie stany i sfery. Te liczne i tłumne pielgrzymki ze wszystkich stron Polski przybyłe, ten ich zapał religijny, to poczucie wśród nich potrzeby ogólnej łączności, przekonywa nawet obojętnych, że Jasna Góra nie przestała i nie przestanie być ostoją naszych najwyższych uczuć — wiary i miłości Ojczyzny.

Uroczystości miały przebieg niezwykle okazały, szlachetny i poważny. Od wczesnej już godziny nie dzielnego ranka poczęły się gromadzić na placu przed Jasną Górą tysiączne tłumy. Pielgrzymki w dalszym ciągu napływały i nie wchodząc już w progi murów klasztornych, zwolna zapełniały pola. Nad bramą ks. Lubomirskich wznosił się piękny ołtarz polowy, a obok tuż kazalnica. Na »szczycie« pięknie udekorowanym odprawiono sumę.

Główną nawę kościoła zaległy tłumy, w presbyteryum zaś zebrały się delegacye stowarzyszeń, przedstawiciele ziemiaństwa. Po przez szpaler duchowieństwa wkroczyli książętą Kościoła, biskupi: Zdzitowiecki, pasterz dyecezyi kujawsko-kaliskiej, Łosiński, pasterz dyecezyi kieleckiej i Nowowiejski, pasterz dyecezyi płockiej. Na chórze, przy akompaniamencie organów, zabrzmiał hymn »Veni creator«, a następnie wszyscy wierni odśpiewali pieśń »Rozmyślajmy dziś«, poczem pochód ruszył ze świątyni na wały kościelne.

Nie zdołał jeszcze celebrans, ks. biskup kujawsko-kaliski Zdzitowiecki dotrzeć do pierwszej stacyi, gdy olbrzymia procesya zatoczyła już łuk wokół wałów i wstępować poczęła do świątyni.

Kalejno dokonano poświęcenia wszystkich stacyj, poczem ks. biskup Zdzitowiecki wypowiedział z ambony, prowizorycznie wzniesionej u »szczytu«, pełne głębokiej treści kazanie.

Kiedy już ostatnia stacya była poświęcona, olbrzymi orszak nie rozchodził się jeszcze, lecz trwał na modlitwie u podnóża stacyi, rozpamiętując Mękę Odkupiciela świata. Wreszcie zwarty tłum ruszył z miejsca, by skierować się ku kościołowi, gdzie jednocześnie w trzech miejscach odprawione były uroczyste sumy z kazaniami; przed ołtarzem głównym celebrował sumę ks. infułat Chodyński, słowo Boże głosił ks. Olchowski, na »szczycie« celebrował biskup płocki Nowowiejski, kazanie zaś wygłosił biskup kujawsko-kaliski Zdzitowiecki, wreszcie nad bramą ks. Lubomirskich celebrował biskup kielecki Łosiński, kazanie wygłosił ks. Wróblewski.

Taki był przebieg uroczystości, która w sercach uczestników pozostawiła niezatarte na długie lata wspomnienie.

Z zapadnięciem zmroku cała Jasna Góra zapłonęła dziasiątkami tysięcy świateł elektrycznych, które uwydatniały piękne kontury wieży; u samej góry gorzał na wierzchołku wieży olbrzymi krzyż. W mieście iluminowano wiele okien, oraz udekorowano balkony.

Uroczystość dała nowy dowód, że cześć ku Pannie Maryi nie przestaje szerzyć się w Polsce, a żadni wrogowie Kościoła nie zdołają wydrzeć Polakom wiary, którą oni z piersi matki wyssali.

Sposób na złodzieja.

(Obrazek z minionych lat).

Pan nauczyciel Bakaliński był bardzo pracowity, poczciwy i zacny, a przytem i bardzo przebiegły. Nie wchodził on nikomu w drogę, to też go gniewało, jeśli jemu kto w drogę właził, i że go skubali na wszystkie boki, chociaż jako nauczyciel wiejski doprawdy nie miał zanadto i przez cały rok był u niego wielki post. Nie znał on się bardzo na obrachunkach leśniczych, ale tyle jednak miarkował, ilekroć z rana wyszedł na podwórze, że z nagromadzonego tam drzewa, jakoś w nocy widocznie mu ubywało. Nie kupował on sobie wprawdzie drzewa, bo je darmo otrzymywał, ale sam je sobie porznął i porąbał — a pracę tę podejmował dla siebie, a nie dla kogoś innego. Zresztą zanadto też tego drzewa nie było, a gdy coś oszczędził, dostał za to parę groszy — i to dobre. W maleńkiej stajence miejsca nie miał, więc rad nierad, gdy sążeń odebrał i porąbał, musiał zostawić drzewo na podwórzu na łasce i niełasce złodzieja.

Stał tedy Bakaliński przed domem, a sąsiad stolarz, który obok mieszkał, a któremu się żalił, powiedział mu z drwinami: »Ano, drzewo świeże, to i nie dziw, że wysycha!«

— Czekaj — pomyślał sobie pan Bakaliński — pokażę ja ci, że świeże drzewo nietylko wysychać umie, ale i co innego potrafi!

Więc poszedł po południu do miasta i kupił pół funta prochu. Ale nie myśl czasem, kochany Czytelniku, że pan Bakaliński miał zamiar z nabitą bronią czatować na złodzieja — broń Boże! Bo po pierwsze nie lubił pan Bakaliński po nocach kusić, a potem broni nie miał i nie chciał igrać. Ale za to wziął kilka wielkich kawałów drzewa, powywiercał w nich dziury, nasypał sporo prochu i zaklinił otwory tak znakomicie, że nikt tego nie mógł dostrzedz, chyba, gdyby się pilnie przypatrywał. Tak przysposobione drzewo położył na sam wierzch.

Nazajutrz z rana spostrzegł ku wielkiej swej radości, że braknie dwóch kawałków nabitego drzewa. Więc tedy spokojnie czeka, co będzie dalej.

Wieczorem siedzi sobie przy wieczerzy, a tu naraz u sąsiada: bęc! Huk — łoskot — krzyk — idzie do okna, patrzy, a tu stolarz z żoną wylatują przed dom z przerażeniem i krzyczą: gore! Ano — do tego chciał pan Bakaliński doprowadzić, więc czemprędzej wybiegł z domu, ale zanim doszedł do domu stolarza, już sąsiedzi kilku kubełkami wody niebezpieczeństwo zażegnali.

— Cóż się stało? — pyta pan Bakaliński z uśmiechem stolarza.

— Ach panie! nieszczęście — woła żona — mój stoi przy warsztacie i hebluje, ja tymczasem krzątam się koło pieca, a tu naraz jak nie huknie! jak gdyby piorun w piec uderzył, a mnie buchnął ogień w twarz — —

— A w kilku chwilach — dodaje stolarz — wszystko w ogniu i zaledwie zdołaliśmy wyskoczyć. Patrz pan! Piec zdruzgotany, okna potłuczone, a kartofle pomiędzy gruzami!

— Musiał kto zamówić, oczarować! — lamentowała żona.

— Z pewnością — przywtarzał stolarz — że w tem coś jest.

— Mnie się zdaje — powiada pan Bakaliński — że wasz piec nie może znieść świeżego drzewa. Rozumiecie?

I zrozumieli oboje, a drzewo pana Bakalińskiego miało w nocy spokój.

W podobny, chociaż uczciwszy i mniej szkodliwy sposób schwycił pan Bakaliński drugiego złodzieja.

Miał on ogród dosyć obszerny, a że znał się na ogrodnictwie, więc piękne miał owoce, zwłaszcza bardzo troskliwie hodował wino, którem przeszło połowa ogrodu była zasadzona. Z drzewa, które dostawał, wystrugiwał sobie sam wysokie słupy do wina, ale z tymi słupami było tak, jak z drzewem do palenia — od czasu do czasu brakło mu kilka słupów, a że u sąsiada innego, który także hodował wino, ale drzewo sobie kupować musiał, podobne były słupy, to niczego nie dowodziło, bo słup do słupa zawsze podobien. Tu pan Bakaliński nie mógł użyć prochu, bo słupy nie wędrowały w piec, ale w ziemię — więc trudna była rada. Pewnego pięknego wieczora pan Bakaliński powyjmował wszystkie słupy ze ziemi i w każdym u dołu wydłubał otwór, w który włożył tyczkowy groch biały, a potem ilekroć nowy wsadził słup w miejsce ukradzionego, zawsze go poprzednio w groch zaopatrzył. Na lato ujrzał każdy z zadziwieniem, że u pana Bakalińskiego pomiędzy winem tyczkowy groch wyrasta, a zarazem spostrzegł pan Bakaliński, że w ogrodzie sąsiada Maćka groch się wije pomiędzy winem. Tem udowodnił wobec wójta, że Maciek podbierał mu słupki, których naliczył kilkadziesiąt i chociaż do skargi nie przyszło, musiał Maciek za szkodę grubo zapłacić, a nadto w całej wsi inaczej go odtąd nie nazywano, jak »grochowy Maciek«.

Przylepeczka.

Rosło śliczne Dzieciąteczko: buzia uśmiechnięta,
Włoski złote i modre — jak kwiat lnu — oczęta
Pociągały każdego; to też Je kochali
Wszyscy — niektórzy „słodkiem Boziunciem“ — przezwali.

Był kochanym nietylko w gronie rówieśników
Hożych — jak On, lecz skorych do bitki psotników,
Ale miłował każdy ten Kwiatek Dziewiczy,
Pełen dobroci serca i dziwnej słodyczy.

Z każdym się delikatnie i grzecznie obchodził,
Smutnych tulił, tych, co się poczubili, godził;
Chorych krzepił, pocieszał każdego — co szlochał,
Tak, że nie było tego, ktoby Go nie kochał.

Głodnym dziatkom oddawał zawsze swą bułeczkę,
I mleczko oddawał swoje i chleba kromeczkę;
Toż pożywił się przy Nim i dziaduś kaleka,
I głodny kotek i pies, co na dziadków szczeka.

Kochał Go każdy, a nikt od Niego nie stronił,
Bo z każdym rad pogadał, i łezkę uronił
Nad biednym; nawet ptactwo Jezunia kochało,
A sąsiedzi Go zwali: „Przylepeczką małą“.

Były zaś między nimi „gniewliwe sąsiady“,
Co wiedli z sobą kłótnie i spory i zwady;
A gdy zazdrość, gniew, zawiść serca rozkolebie,
To wtedy i nożami godzili na siebie.

Wtedy to — by uciszyć ludzkie namiętności,
Najświętsza Panna „Matka przedziwnej miłości“
Brała Dziecię na ręce, unosiła w górę,
I gniewu sąsiedzkiego rozpędzała chmurę.

Widząc Dziecię, zwaśnieni porzucali noże,
Patrząc na Nie — wołają: „Przebacz Panie Boże!“
Serca ostygły z gniewu, padną na kolana
I już gniew, już sąsiedzka burza zażegnana.

Już zgoda! wzajem sobie padają w ramiona,
Wznoszą okrzyk: — „Dziecino! bądź błogosławiona:
Ty poskramiasz złe żądze co nas prą do boju,
Tyś jest Bogiem miłości, Tyś jest Bóg pokoju!

Zachowaj od niezgody, wybaw nas od wojny,
Powściągnij namiętności, daj umysł spokojny,
Spraw, niech gniew i nienawiść śród nas się nie sroży,
Ześlej nam na tę biedną ziemię pokój Boży!“

Jacek Obrochta.

CZARNA ZARAZA.

XXII. U celu.

W parowie. — Chrzęst kurka. — Baron Zimmer. — Ponure wycie starej. — »Moja matka!«

Sperwer wyprzedził mnie i skierował się w wązki parów, pomiędzy dwoma szeregami spiczastych skał. Gałęzie jodeł plątały się ponad naszemi głowami; u stóp naszych wiło się stężałe prawie łożysko strumienia, a od czasu do czasu słaby blask, zabłąkany w te głębokości, odbijał się w jego marmartwej powierzchni.

Było tak ciemno, żeśmy prawie koni naszych dojrzeć nie mogli, słyszeliśmy tylko ich stąpania po oślizgłych kamykach i echa tych dźwięków, odbijające się od skał; przed nami tylko w głębi błękitniał jakiś punkcik, rosnący w miarę, jakeśmy się ku niemu posuwali; było to wyjście z wąwozu.

— Franku — rzekł Sperwer — jesteśmy teraz w łożysku wodospadu Tunkelbach. Jest to najdzikszy wąwóz w całym Czarnym Lesie, kończący się kotliną, zwaną Kociołkiem Wielkiego Gueularda. Na wiosnę, w porze topnienia śniegów, Tunkelbach wypada tamtędy z wysokości dwustu stóp. Harmider wtedy jest straszny. Woda tryska i spada deszczem na otaczające góry. Często nawet zalewa Dolinę Skalistą. Ale teraz sucho tam być musi, jak w solniczce, i będziemy mogli rozpalić dobry ogień.

Słuchając Gedeona, poglądałem tu na ten ciemny wąwóz i mówiłem sobie, że instynkt zwierząt dzikich, który im każe szukać takich jaskiń, zdala od wszystkiego, co jasne i wesołe, podobny jest do wyrzutów sumienia. W istocie, istoty, żyjące na otwartem powietrzu: koza dzika, skacząca po skałach, koń, galopujący po równinach, pies, który się łasi panu, i ptak, co się kąpie w słońcu — wszystkie te zwierzęta tchną wesołością i szczęściem, wszystkie witają jutrzenkę radosnym okrzykiem i podskokami. Jeleń, beczący pod cieniem drzew wielkich na zielonej murawie, ma w sobie coś poetycznego, jak ustronie, które wybiera; dzik — coś szorstkiego, jak nieprzebyte gąszcza, w których się zagłębia, orzeł coś dumnego, rzeźkiego, jak jego śpiczaste skały, lew coś majestatycznego, jak wyniosłe sklepienia jego jaskini; ale wilk, lis, kuna, te szukają ciemności... strach im towarzyszy!

Dumałem jeszcze nad tem i czułem już powiew ostrego powietrza na twarzy, bo zbliżaliśmy się do wyjścia, gdy nagle czerwonawy odblask przesunął się po skale o sto stóp nad nami, ozłacając ciemną zieleń jodeł i roziskrzając na nich girlandy szronu.



Mierzy doń i rozciąga go trupem u stóp młodzieńca.

— Ha! — szepnął Sperwer głosem stłumionym — trzymamy starą!

Serce zabiło mi mocno; przysunęliśmy się do siebie.

Pies warczał głucho.

— A nie może nam uciec? — spytałem.

— Nie sposób. Wpadła jak mysz w pułapkę. Z Kociołka Wielkiego Gueularda niema innego wyjścia, tylko to; a dokoła skały na dwieście stóp wysokości. Ha! ha! mam cię, stara czarownico!

Zeskoczył z konia w zamarzłą wodę, oddając mi cugle do trzymania. Nagle drgnąłem. Usłyszałem chrzęst odwodzonego kurka. Ten suchy odgłos przeniknął mię do głębi:

— Sperwerze! co chcesz uczynić?

— Nie bój się, to tylko tak dla postrachu.

— No, to dobrze. Ale pamiętaj, com ci powiedział: kula, która ją dosięgnie zabije jednocześnie i hrabiego.

— Bądź spokojny.

Oddalił się, nie zważając na dalsze przestrogi. Słyszałem, jak stąpał po rozmiękłym gdzieniegdzie gruncie, a po niejakiej chwili zobaczyłem wysoką jego postać, rysującą się czarno na błękitnawem tle wyjścia z wąwozu. Stał tam z pięć minut nieruchomy. Ja tymczasem zbliżałem się zwolna i ostrożnie. Kiedy się odwrócił, dzieliło nas zaledwie parę kroków.

— Cyt! — szepnął tajemniczo. — Patrzaj!

Wtedy w głębi kotliny zobaczyłem suchy ogień, strzelający w złotych skrętach ku górze, a przy ogniu siedzącego mężczyznę, w którym po ustroju poznałem barona Zimmer-Blouderica. Siedział nieruchomy, z czołem opartem na ręce — pogrążony w myślach. Zanim postać jakaś czarna leżała na ziemi, a dalej koń jego, napół niknący w cieniu, patrzał na nas bystrem okiem, strzygąc uszyma i roztwierając chrapy.

Byłem zdumiony.

Jakim sposobem baron Zimmer znajdował się tu o tej porze?... Co tu robi?... Czy się zabłąkał?

Najsprzeczniejsze przypuszczenia krążyły mi po głowie i nie wiedziałem jakiemu dać wiarę, gdy koń barona rżeć zaczął. To wyrwało z zadumy jego pana.

— Co ci jest, Donnerze? — rzekł, podnosząc głowę.

Poczem z kolei spojrzał w naszą stronę szeroko rozwartemi oczyma.

Ta głowa blada o śniadych konturach, wązkich wargach i czarnych, zsuniętych brwiach, pomiędzy którerni rysowała się prostopadła, przecinająca czoło brózda, byłaby mnie w każdym innym razie przejęła uwielbieniem; ale wtedy opanowało mnie jakieś złowrogie przeczucie i dziwny niepokój, który wszystkie moje władze pochłonął.

Nagle młodzieniec wykrzyknął:
— Kto idzie?
— Ja, panie baronie — odparł Gedeon, posuwając się naprzód — ja, Sperwer, dojeżdżacz hrabiego Nidecka.
Błyskawica zajaśniała w oczach barona, ale ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy. Wstał, nasuwając płaszcz na ramiona.
Przyciągnąłem ku sobie konie i psa, który nagle zaczął wyć żałośnie.
Któż jest wolny od obaw zabobonnych? Wycie Liverlego przejęło mnie strachem, dreszcz zimny przebiegł mi członki.
Sperwer i baron stali na pięćdziesiąt kroków od siebie: pierwszy u wnijścia z karabinem na ramieniu, drugi na platformie zewnętrznej z podniesioną głową i dumnem wejrzeniem.
— Czego chcecie? — zapytał młodzieniec ostro.
— Szukamy kobiety — odparł Sperwer — kobiety, która co rok włóczy się dokoła zamku Nideck. Mamy rozkaz zatrzymania jej.
— Czy się dopuściła kradzieży?
— Nie.
— Zabiła kogo?
— Nie.
— A więc czego od niej chcecie? Jakiem prawem ją ścigacie?
Sperwer wyprostował się i, utkwiwszy swe szare oczy w twarzy barona:
— A pan jakiem prawem ją sobie wziąłeś? — zapytał z dziwacznym uśmiechem — bo ona tu jest... widzę ją za panem. Jakiem prawem mieszasz się pan w nasze sprawy?... Czy pan nie wiesz, że jesteśmy na gruntach Nidecku i możemy sobie wymierzyć sprawiedliwość.
Młodzieniec pobladł i odpowiedział szorstko:
— Nie potrzebuję się przed wami tłómaczyć.
— Strzeż się pan — ponowił Sperwer — przychodzę ze słowami pokoju i zgody. Działam w imieniu hrabiego Jeri-Hansa, jestem w swojem prawie, a pan mi źle odpowiadasz.
— W swojem prawie? — powtórzył młodzieniec z goryczą. — Nie mów mi o swojem prawie, bo mnie zmusisz, abym ci moje powiedział.
— A więc powiedz je pan! — wykrzyknął stary myśliwiec, którego nos zakrzywiał się z wielkiego gniewu.
— Nie — odparł baron — nie powiem nic, a ty tu nie wejdziesz.
— Zobaczymy! — rzekł Sperwer, postępując naprzód.
Młody człowiek dobył kordelasa. Widząc to, chciałem się rzucić pomiędzy nich. Na nieszczęście, pies, którego trzymałem za obrożę, wyrwał mi się, przewracając mnie na ziemię. Sądziłem, że baron stracony, ale w tejże chwili krzyk dziki rozległ się w głębi i, gdym się podnosił, ujrzałem starą, stojącą przed ogniem w łachmanach, z głową w tył odrzuconą i włosami rozwianymi na ramionach; podniosła wychudłe ręce ku niebu, wydając ponure wycia, podobne do skargi wilka w mroźną noc zimową, kiedy głód szarpie mu wnętrzności.
Nic w życiu równie okropnego nie widziałem. Sperwer, nieruchomy, z nawpół otwartemi usty, zdawał się skamieniały. Pies nawet zatrzymał się, ujrzawszy to niespodziewane zjawisko, ale wnet, zginając grzbiet najeżony gniewem, biegł z głuchem warknięciem, które mnie dreszczem przejęło. Słyszę go jeszcze przeskakującego krzaki, okryte szronem. Widzę, jak baron rzuca się przed starą, wołając rozdzierającym głosem:
— Moja matka!...
Widzę, jak pies daje ostatniego susa, a Sperwer, szybszy, niż błyskawica, mierzy doń i rozciąga go trupem u stóp młodzieńca.
Wszystko to trwało jedną chwilę. Kotlina zajaśniała światłem, a echa dalekie odbijały wystrzał do nieskończoności. Milczenie jakie potem nastąpiło, wydało się jesze głębszem, jak czarniejszemi wydają się ciemności po błysku.
Gdy dym się rozprószył, ujrzałem psa leżącego u podstawy skały, a starą zemdloną w objęciach młodzieńca.
Sperwer blady, ze spuszczoną na ziemię kolbą karabinu, patrzał ponuro na barona.
— Baronie Blouderic! — ozwał się, wyciągając ku niemu rękę — zabiłem mego najlepszego przyjaciela, aby uratować tę kobietę... twoją matkę. Podziękuj niebu, że losy jej złączone są z losami hrabiego. Zabierz ją stąd! zabierz!... i niech już nigdy nie wraca, bo nie odpowiadam za starego Sperwera.
Poczem, spojrzawszy na martwe zwierzę:
— O mój biedny Liverle! — zawołał rozdzierającym głosem. — Toż mnie więc tutaj czekało!... Pójdź, Franku!... jedźmy... uciekajmy... bo może być nieszczęście!
I, chwytając konia za grzywę, chciał wskoczyć na siodło, ale nagle żal go zwyciężył i, kryjąc twarz w dłoniach, zaczął płakać, jak dziecko.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Spuścizna żołnierza.

— Żono! Uściel twarde łoże!
Obwiąż silniej moją ranę!
Raz ostatni się położę,
Bo już więcej nie powstanę.

Chciałbym jeszcze z wami gadać,
Nim mi śmierć zabieli lice.
Choć nie mogę ręką władać,
Podaj, synu, mą szablicę!

Niech uścisnę ją w mej dłoni,
Bym przypomniał boje srogie,
Gdym nią kiedyś hen, na błoni,
Pędził, siekał tłumy wrogie!

Weź ją synu! Weź ją sobie!
Aby w bojach ci służyła,
Chcę, gdy w zimnym legnę grobie,
By twą wierną siostrą była.

Weź medalik Częstochowskiej,
Który od kul wroga broni,
Niech opieka Matki Boskiej,
Od przygody cię ochroni.

A pamiętaj zawsze, wszędzie,
O Ojczyźnie, Polsce drogiej!
Gdy w potrzebie kiedyś będzie,
Od napaści bronić wrogiej.

A ty, żono, me kochanie,
Chowaj resztę dziatwy zdrowo,
Bo mnie wkrótce już nie stanie.
Wychowaj ich! A surowo!

Niech się uczą kochać Boga!
Niech miłują swą Ojczyznę!
Niech się uczą gromić wroga!
Taką daję wam spuściznę...

Westchnął żołnierz, zbladły lice,
Coraz słabło tętna bicie,
Ujął w rękę swą gromnicę,
Przymknął oczy, skończył życie.

Syn zaś ujął szablę w dłonie
I przysiągł na ojca blizny,
Czuć się w sercu, czuć się w łonie,
Synem godnym swej Ojczyzny!

Edmund Zawiła.



MACIEK BZDURA GADA:

Coraz nowse wynajdują ludzie wynalazki, a ze to takiego nie mogą wymyślić, ftóryby ludzi do cna przerabiał. Jakby był taki wynalazek, tobym najpierw siebie przetopił, zeby mi ubyło ze dwadzieścia lat, toby mnie prędzej jaka dzieucha zechciała, bo to teraz takie casy, ze dziopy nie patrzą na statecność i rozsądek, ale za byle jakim chłystkiem polecą, byle ino miał młodość i ładny wąsik.

Potem przetapiałbym różnych polityków. Namnozyło się tego gadziaństwa tyle na świecie, zeby ich ani sam prefesur nie porachował. Ale zeby to byli choć na prawdę rozumni i wiedzieli, cego mają chcieć... Ale gdzie tam!... Ludowiec ino la tego cegoś nie chce, bo tego chce wsipolak; wsipolak znowu cegosik nie chce, bo tego chce mokrata; mokrata znowuj tamtego nie chce, bo tego pragnie konserwatysta... i tak dali, i tak dali.... A tak robią ino ludzie, ftórzy się na robocie nie rozumią. Ja, choć mam łeb całkiem niepolitycny, to przecie wiem, ze na świecie są ino dwie rzecy: złe i dobre. Bez to dobre powinni chcieć wszyscy t. j. i ludowcy, i wsipolaki, i mokraty i rystokraty, a złych nikt porządny, ino same socyjalisty. Ale tak nie jest, bo polityków na świecie tyłe, co pchłów u mojej gospodyni, a rozumnych ludzi okrutecnie mało.

Gdybym miał taką masynkę do przerabiania ludzi, przerobiłbym takoj pana wójta z nasy wsi, ftóry dokumentnie wie, kiedy u kogo krzciny abo wesele, ale nie wie o dziurach na drodze i o popsutych mostach.

Gdybym miał taką masynkę, przerobiłbym wielu radnych z Zatraconej Wsi, ftórzy, jak się zejdą na radę, to o wszyćkiem gadają, ino nie o sprawach gminnych. Ich obchodzi, co ta abo tamta kumoska o tej abo tamtej kumosce pedziała, ale ich nigdy nie obchodzi, coby trzeba było nowego w gminie zaprowadzić, aby było dobrze.

Gdybym miał taką masynkę, przetopiłbym nasego organistę, który duzo je, ale kiepsko śpiwa, a jesce kiepśniej na organach bucy. A niedość ze kiepsko bucy i kiepsko śpiwa, ale jak mu to pedzieć, to się jesce gniwa.

Gdybym miał taką masynkę, przerobiłbym i moją Kaśkę Myrdalonkę, coby tyle nie zarła, bo jakbym się z nią ozenił, toby la mnie i la dziecek nie starcyło. Zyrna baba do roboty nie zawse śwarna, a do imienia człeka na majątku zniścić moze. A Kaśka chlać potrafi!...

Gdybym miał taką masynkę, przetopiłbym takze i moją gospodynię. Zrobiłym jem brzusek taki malusieńki, jak zimiocek, zeby się do niego nie siuła jedzenia mieściło, a bez to la mnie więcy zostawało.

A juz cemduchu przetopiłbym wszyćkich pijaków, aby nie byli świniami, ale stworzeniami na obraz i podobieństwo Boże!

Z TYGODNIA.

Ludowcy a stanowisko min. Długosza. Dnia 5 b. m. byli posłowie ludowcy u prezydenta ministrów, hr. Stürghka, na posłuchaniu, stosownie do uchwały zjazdu ludowców w Krakowie. Minister Długosz przez zbieg okoliczności wywołał w opinii publicznej mniemanie, jakoby solidaryzował się z żalami, podniesionymi na zebraniu ludowców przeciw urzędowaniu namiestnika Korytowskiego. Zważywszy, że między rządem centralnym, a między namiestnikiem panuje najzupełniejsza harmonia, powstało na zewnątrz wrażenie, jakoby minister Długosz odosobnił się, co znów wywołało pogłoskę o bliskiej jakoby jego dymisyi. P. Długosz spostrzegłszy nieporozumienie, natychmiast z całą stanowczością zaprzeczył wszelkiemu udziałowi w jakiejkolwiek przeciwko namiestnikowi skierowanej akcyi, w szczególności zaś złożył w ręce prezydenta gabinetu oświadczenie, że jego rola na zebraniu ludowców została zupełnie mylnie zrozumianą. Minister Długosz nie wziął też udziału w konferencyi ludowców z hr. Stürgkiem; byłoby to bowiem zupełnie niestosownem i dałoby powód do dalszych nieporozumień, gdyby członek rządu asystował w swym urzędowym charakterze przy konferencyi, podczas której ludowcy przedkładali prezydentowi ministrów zażalenia na namiestnika Dra Korytowskiego.

Czeski kongres katolicki. W Kolinie, w Czechach, dn. 7 i 8 września odbywał się kongres katolicki. Przybyło nań wielu dostojników, wielu biskupów. — Przybył także kardynał ks. Skrbensky z Pragi.

Cesarz Wilhelm na Śląsku. W jesieni przyjedzie cesarz Wilhelm na Śląsk, w odwiedziny do ks. Lichnownky'ego, do Hradecu, koło Opawy.

Następstwo tronu w Rosyi. Pogłoski o nieuleczalnej chorobie następcy tronu rosyjskiego nie chcą umilknąć i mimo zaprzeczeń urzędowych utrzymuje się zdanie, że nie będzie on mógł objąć rządów. O przyszłym następcy na tronie carskim obiegają różne pogłoski. Według jednych tron obejmie wielki książę Dymitr Pawłowicz, który ma poślubić najstarszą córkę cara Olgę, inni wymieniają wciąż jeszcze młodszego brata cara, wielkiego księcia Michała, ale ten zdaje się być wykluczonym z powodu swego ślubu z żoną pochodzenia nie książęcego. Większe widoki posiada wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, który jest starszym od cara.

Rokowania bułgarsko-tureckie. Już zamianowano pełnomocników z obu stron do rokowań, które odbywać się będą w Konstantynopolu. Słychać, że Bułgarya uczyni Turcyi wielkie ustępstwa, ale że Rosya będzie ją popierała w rokowaniach. Bułgarski delegat jenerał Sawow oświadczył, że jest bardzo zadowolony z zamianowania Talaata beja pełnomocnikiem tureckim. »Jesteśmy dawnymi przyjaciółmi, powiedział on, i wkrótce dojdziemy do ładu w kwestyi granicznej. Co prawda, istnieją pewne trudności, ale w Konstantynopolu powinni pamiętać o tem, że Bułgarya i Turcya mają jeden wielki wspólny cel i w jednem się spotykają, t. j. w nienawiści nieprzejednanej do Greków«. Pokazuje się więc obecnie, że związek bałkański Bułgaryi, Serbii, Grecyi i Czarnogóry był tworem tylko chwilowym, i że niema podstaw, aby mógł był trwać dłużej i stanowić zwartą wojskową siłę, gdyż zbyt zakorzenione są wzajemne nienawiści między dawnymi sprzymierzeńcami

Król grecki w Berlinie. Dn. 7 września rano przybył do Berlina król grecki Konstantyn, po-

witany na dworcu przez cesarza Wilhelma i książąt niemieckich. Cesarz Wilhelm tego dnia wraz z królem greckim i następcą tronu greckiego udał się do Salzbrunn na manewry. Kierownictwo manewrów znajduje się w Freibergu, na Śląsku, dokąd przybyli szef sztabu generalnego niemieckiego Moltke, austryackiego baron Conrad i włoskiego jenerał Polio.

Organizacya armii francuskiej. Sztab generalny i zarząd armii francuskiej rozwinęły gorączkową działalność w kierunku przeprowadzenia różnych bardzo ważnych reform w armii francuskiej celem umożliwienia najszybszej mobilizacyi na granicy niemieckiej na wypadek wojny. Zbudowane być mają także dwa nowe okręty wojenne.

Pobór 20-letnich popisowych we Francyi trwa w dalszym ciągu i wypada korzystnie. Na ogół 80 procent 20 letnich popisowych okazało się zdolnymi do służby wojskowej, tyleż procent, co przy poborze 21-letnich rekrutów, a wymagania lekarskie przy poborze 20-letnich są ostrzejsze, aniżeli przy poborze 21 letnich.

Widmo rewolucyi w Portugalii. Położenie w Portugalii jest krytyczne. Rząd republikański, który wywołał dawniej rewolucyę i złożył z tronu króla, nie spełnił swych przyrzeczeń wobec ludu, który otwarcie okazuje swe niezadowolenie i żąda przywołania wygnanego króla. Zwłaszcza oburzoną jest ludność katolicka z powodu zaprowadzenia różnych ustaw wyjątkowych przeciw katolikom. Członków rządu uważa się za tyranów. Zapowiada się bliski wybuch rewolucyi. Tymczasem rząd gwałtownymi środkami stara się zapobiedz wybuchowi katastrofy i dokonywa aresztowań licznych podejrzanych zwolenników króla.

Kongres pokoju. W tych dniach zakończył obrady międzynarodowy kongres pokojowy w Hadze, mieście w Holandyi. Kongres uchwalił szereg rezolucyj, które oczywiście pozostaną głosem wołającego na puszczy. Warto wymienić niektóre. I tak w kwestyi bałkańskiej kongres wypowiedział następujące złote myśli: »1) Kongres przyznaje, że narody bałkańskie nie korzystały z pełni praw pod rządem tureckim i że ich wyzwolenie zasługuje na zupełną aprobatę; sądzi również, że wyniki te dałyby się osiągnąć w sposób mniej krwawy, mniej brutalny i rujnujący, gdyby wielkie mocarstwa, które potrafiły wyciągnąć z Bałkanu wszelkie dla siebie przywileje, dopomogły do sprawiedliwego załatwienia spraw odpowiednich, mając do tego podstawę w traktacie berlińskim. 2) Że jakiekolwiek mogły być przewinienia polityczne Turcyi na Bałkanach, odpowiedzialność za opłakane sprawy podzielić z nią winny wielkie mocarstwa, z których Austrya i Włochy bezpośrednią dla siebie zdobyły korzyść, zabierając Bośnię, Hercegowinę i Trypolitanię, gdy Niemcya, Francya, Anglia i Rosya tolerowały i sankcyonowały te czyny. 3) Kongres stwierdza z oburzeniem, że wojny rozpoczęte były bez deklaracyi i prowadzone w sposób barbarzyński, z pominięciem nawet praw i zwyczajów wojennych. 4) Kongres ubolewa, że dyplomacya europejska, więcej dbająca przy każdej sprawie o interesy własnych państw, niż o przywrócenie równowagi, sprawiedliwości i pokoju, okazała się bezsilną dla zażegnania barbarzyńskich rozpraw. 5) Kongres, wobec zasady, że wszystkie narody mają prawo przyrodzone rozporządzania sobą, ubolewa, że dyplomaci, w Bukareszcie zebrani, nie postarali się o zorganizowanie wolnej wymiany myśli zainteresowanych narodów i zaleca oddanie w przyszłości bliskiej spraw spornych do rozstrzygnięcia trybunałowi w Hadze«.

KRONIKA.

Instalacya proboszcza zakopańskiego. W Zakopanem odbyła się uroczystość instalacyi nowego proboszcza. Probostwo zakopańskie objął ks. Dr Paweł Frelek.

(W. R.) **Pożar.** We czwartek 21 sierpnia wybuchł pożar u Józefa Stefana w Grabnie, w powiecie brzeskim, który zniszczył dach na domu i boisko przy domu przystawione. Ogień spowodował pięcioletni jego syn, który zapalił zapałkami słomę na boisku.

Morderstwo w klasztorze. Ze Złoczowa donoszą: Pogrzeb ś. p. przeora Kossaka odbył się w ubiegły piątek. Na pogrzeb przyjechał ze Lwowa przełożony OO. Bazylianów ks. Platonid Filas, który następnie oficyalnie oddał zarząd klasztoru nowomianowanemu kierownikowi ks. Ambrożemu Muszkiewiczowi. Na podstawie dotychczasowego śledztwa przypuszczają, że mordu dokonano w celach rabunkowych. Potwierdza to brak pugilaresu czarnego i szkatułki żelaznej, którą miał zamordowany jeszcze po księdzu Niemiłowiczu. Ścisłe dochodzenia, prowadzone w Drohobyczu, miejscu zamieszkania bratanka ś. p. przeora Niemiłowicza, na którego padło podejrzenie, że on jest sprawcą morderstwa, wykazały zupełną jego niewinność. Również aresztowana Basia Łytyk wykazała swoją niewinność. Śledztwo utknęło na drodze bez żadnych drogowskazów, a sprawa okryta jest nadal pomroką tajemnicy.

Pogłoski o cholerze w Galicyi. Wobec pogłosek, jakie się pojawiły we Lwowie, że w Skolem i Ławocznem wydarzyły się wypadki cholery, z polecenia namiestnictwa wyjechał tam Dr Lachowicz i nadesłał wiadomość, że ani w Ławocznem, ani Skolem, ani w najbliższej okolicy po stronie galicyjskiej żaden podejrzany wypadek nie zaszedł. Pogłoskę o cholerze w Galicyi wywołały sprawozdania władz północno-węgierskich, jako cholerę zawleczono z Galicyi. Namiestnictwo i dyrekcya kolei wobec niebezpieczeństwa przywleczenia stamtąd cholery do Galicyi odniosły się telegraficznie do władz w Wiedniu o dalsze zarządzenia.

Śmierć sześciorga dzieci w płomieniach. Grozą przejmujący fakt spalenia się sześciorga dzieci zdarzył się w Sławsku w Galicyi wschodniej. Dnia 28 z. m. popołudniu wybuchł w zagrodzie włościanina Iwana Jacykiewicza pożar, który w okamgnieniu objął całe zabudowanie. Właściciel domku leżał pogrążony w najgłębszym śnie, a żona jego bawiła w cerkwi, tak, że pożar dostrzegli dopiero sąsiedzi, którzy zbudzili Jacykiewicza. Ku przerażeniu swemu przekonali się, że w międzyczasie ofiarą pożaru padło pięcioro dzieci Jacykiewicza, z których najmłodsze liczyło 5 lat, oraz dziecko sąsiada Kościa Korpania. W zgliszczach spalonej zagrody znaleziono też spalonych 5 sztuk bydła.

Okrutny żart. W zeszłym tygodniu biegał po ulicach Opawy, na Śląsku, pies (czarny pudel), płonący na kształt żywej pochodni. Nieszczęśliwe zwierzę wydawało straszne ryki, aż wreszcie przychwytano je i z trudem bolom jego koniec położono. Śledztwo policyjne wykazało, że biedny pies był ofiarą okrutnego żartu dwóch chłopców, którzy oblali go terpentyną, a następnie podpalili. Obu aresztowano.

Za zabicie żony — trzy dni aresztu. Robotnik Karol Winter, nałogowy alkoholik z Witkowic, na Śląsku, przyszedłszy raz do domu, pochwycił żonę i tak długo ją bił i dusił, aż nieszczęśliwa kobieta padła nieżywa na ziemię. Lekarska obdukcya orzekła jednak, że śmierć jej nastąpiła nie ze zdu-

szenia lub uderzeń, lecz z powodu porażenia serca. Z powodu tego orzeczenia wytoczona została przeciw Winterowi rozprawa sądowa nie o zbrodnię zabójstwa, lecz o przewinienie co do uszkodzenia ciała według paragrafu 419 ustawy karnej. Na tej podstawie odbyła się rozprawa sądowa w powiatowym sądzie w Morawskiej Ostrawie. W wyroku skazano Wintera tylko na 3 dni aresztu.

Jak się żyje z głupoty ludzkiej. Policya cieszyńska wpadła na trop oszustw, popełnianych przez niejaką Maryannę C. z Ustronia, zamieszkałą w Cieszynie na Wyższym Rynku. Prowadziła ona od dłuższego czasu proceder, przynoszący jej wcale piękne zyski z głupoty ludzkiej. Wyszukiwała dziewczęta, któreby pragnęłyby się wydać i obiecywała im znaleźć pięknych i bogatych narzeczonych za pomocą specyalnych nabożeństw, odprawianych aż w Jerozolimie. Głupie dziewczęta przynosiły pieniądze, rzeczona zaś oszustka mówiła, że wysyła je do Jerozolimy, jako opłaty stemplowe, porto pocztowe, opłaty od modlitw i za świece. Od innych dziewcząt wyłudzała pieniądze, obiecując wyszukać im służbę dobrze płatną, a bez pracy.

Fatalne pomieszanie lekarstwa. Żona robotnika, Hudiecowa, w Morawskiej Ostrawie, udała się do składu aptecznego, aby kupić oleju karbolowego na okłady na twarz chorej córki. Aptekarz przez pomyłkę dał kobiecie skocentrowany kwas karbolowy. Gdy Hudiecowa przyłożyła go na zranioną twarz córce, biedna dziewczyna, krzycząc, straciła przytomność. Lekarz, którego natychmiast zawezwano, stwierdził zatrucie krwi. Dziewczyna w kilka godzin umarła. Przeciw właścicielowi składu aptecznego wdrożono kroki sądowe.

Mniej piwa piją w Czechach. Wskutek zaprowadzenia nowego krajowego podatku od piwa oraz chłodnego lata — konsumcya piwa w Czechach zmalała w ostatnim czasie podobno o blisko 40 procent. Kilku browarom grozi bankructwo.

Zabity beczką. Pisma węgierskie donoszą o niezwykłem zabójstwie przy pomocy beczki, którego dopuścili się dwaj bracia, rumuńscy chłopi, Juon i Michał Blenke, na osobie Ludwika Kerekeso. Kerekeso, Węgier, był kosiarzem. Jeden z gospodarzy we wsi Mezömehes, w Siedmiogrodzie, zgodził był braci Blenke, by kosili mu łąkę.



Bracia zwlekali z podjęciem roboty, mieli bowiem jeszcze pieniądze i zapijali się na umor, więc zniecierpliwiony właściciel łąki zwrócił się z tem do Kerekesa. Kerekes zabrał się czemprędzej do roboty, ukończył ją i prosto z roboty udał się do gospody. Tu napadli go obaj bracia Blenke. Juon porwał za beczkę i ugodził nią Kerekesa w głowę, a gdy uderzony padł nieprzytomny na ziemię, Michał zakłuł go nożem.

Cholera, zawleczona z Serbii, pochłonęła już kilkanaście ofiar na Węgrzech i w Bośni. Władze zakazały przywozu owoców i środków żywności z Bośni i Hercegowiny, oraz z okręgów węgierskich, w których zaszły poszczególne wypadki zasłabnięć na cholerę. — W komitacie węgierskim Bereg, na Węgrzech, przybiera cholera wielkie rozmiary. Wszystkie gminy wzdłuż rzeki Latorcsa są zarażone cholerą, którą zawleczono już także do Munkacsa, gdzie zaszły dwa śmiertelne wypadki zasłabnięć i 15 wypadków śmierci na cholerę. Z Chorwacyi donoszą także o wypadkach cholery w kilku miejscowościach.

Kamienica samobójców. Przy ulicy Focky w Wiedniu, w domu pod liczbą 30. skoczył z okna czwartego piętra na dziedziniec 73-letni starzec, Jakób Steiner i zabił się na miejcu. W kilka chwil potem usiłowała 40 letnia służąca, mieszkająca naprzeciw Steinera w oficynach, rzucić się również na bruk. Zdołano ją powstrzymać, ale wówczas chwyciła scyzoryk i poderznęła sobie gardło.

Wybuch armaty. Podczas ćwiczeń artyleryi pod Polą, koło Tryestu, nastąpił wybuch naboju armatniego. 3 kanonierów zabitych, 5 ciężko rannych. Kilku urzędników cywilnych odniosło lekkie rany. Wiceadmirał hr. Karol Lanjus jest ciężko ranny w nogę.

Śmierć przy orce. Piętnastoletni chłopak, nazwiskiem Kretschmer, zatrudniony u swego gospodarza w Łukaszowicach, na Śląsku Pruskim, orał na polu. Ponieważ w południe nie powrócił do domu, przeto zaniepokojony gospodarz posłał jego brata na pole, aby się przekonał, z jakiej przyczyny Kretschmer nie powrócił. Pokazało się, że chłopak, założywszy sobie lejce na szyję, poniósł śmierć wskutek uduszenia. Prawdopodobnie konie szarpnęły pługiem i chłopak wywrócił się, poczem już nie zdołał się podnieść. Konie stały podobno przez dwie godziny spokojnie przed pługiem.

Ruchliwość Wilhelma II. Cesarz niemiecki okazał w ostatnich tygodniach nadzwyczajną ruchliwość. Podróżował po wybrzeżach Szwecyi, był w Hamburgu, Lubece, Hanowerze, Bawaryi, brał udział w kilku manewrach i paradach wojskowych, dokonał odsłonięć kilku pomników, był w Poznaniu, a w ostatnich dniach w Wrocławiu, gdzie zakończyły się ostatecznie uroczystości cesarskie. Patryotów niemieckich zadziwiło nadzwyczajnie, że cesarz nie zwiedził wrocławskiej wielkiej wystawy 100-letniej, urządzonej na pamiątkę pokonania Napoleona, chociaż z kilku stron do tego go nakłaniano. Kilkaset dzieci szkolnych odśpiewać miało przed cesarzem kilka pieśni; cesarz oświadczył podobno, że sobie tego nie życzy. Cesarz więc na razie zazna nieco spokoju, ale nie na długo. Dnia 18 września odbędzie się poświęcenie pomnika »bitwy narodów« w Lipsku przy udziale cesarza i wszystkich niemieckich książąt panujących. We wrześniu również odbędą się wielkie manewry cesarskie, następnie wielkie polowanie i t. d. Rok 1913 stanowi dla Niemiec istotnie rok festynów; choćby przypomnieć jeszcze tylko jubileusz 25 letniego panowania cesarza i uroczystości weselne z okazayi zaślubienia córki cesarskiej w Berlinie.

Książę uczniem szkoły ludowej. W pierwszych dniach września, książę Henryk, trzeci syn króla angielskiego zaczął uczęszczać do szkoły ludowej w Eton. Pierwszy raz królewicz zaczął chodzić do szkoły ludowej razem z dziećmi wszystkich warstw ludowych. Król i królowa wydali rozporządzenie, że syn ich ma być tak samo traktowany jak każdy inny uczeń. Ma on robić te same zadania, te same otrzymywać kary i tych samych trzymać się godzin nauki, jak reszta uczniów. Młody książę ma też podlegać

istniejącemu po wielu szkołach angielskich t. zw. »famulostwu« (famulus = sługa, giermek). t. j. zobowiązany będzie oddawać małe usługi jakiemu starszemu uczniowi: będzie nosił za nim książki, będzie utrzymywał pokój jego w porządku i będzie czynił za niego zakupy. Rodzice młodego królewicza postanowili dalej: aby syn ich obsługiwał sam siebie. Ma on sobie sam czyścić obuwie i rzeczy i sam sobie gotować herbatę i kawę.

Pomnik dla pastucha krów postanowili wystawić mieszkańcy wsi Lüdinghause, koło Dortmundu, w Westfalii. Poświęcenie tego pomnika odbędzie się za kilka miesięcy. Będzie to w swoim rodzaju pomnik jedyny na świecie.

Wieś o czterech mieszkańcach. Najmniejszą gminą w Niemczech jest wieś Dürr-Ellenbach w górach nassawskich. Wójtem tej »wsi« jest tamtejszy leśniczy. Jako taki otrzymuje też codziennie wszystkie urzędowe pisma, jak »Orędownik powiatowy« i t. d. Miejscowość ta jeszcze przed 70 laty posiadała własną szkołę, do której uczęszczało 11 dzieci. Zamieszkałych 6 rodzin rolniczych sprzedało jednak swe grunta hr. Erbachowi, a sami wyjechali do Ameryki, gdzie dorobili się częściowo znacznych majątków. We wsi pozostał zatem tylko hrabiowski leśniczy, który pełni zarazem funkcyę wójta — nad swoją rodziną, złożoną, oprócz niego, z 3 osób.

Policya pruska i psia buda. O zabawnem zdarzeniu, jakie miało miejsce w Szlezwiku, opowiada jedna z paryskich gazet: W jednej z miejscowości, zamieszkałych przez ludność duńską, pewien gospodarz zafundował dla swego ulubieńca czarnego podwórzowego psa, budę, którą pomalował na czerwono. Ale pies wkrótce zginął i gospodarz nabył sobie nowego stróża domowego, tym razem o kudłach białych. Nowy lokator czerwonej budki naraził jednak swojego pana na przykry zatarg z policyą. Bo oto policya pruska w Szlezwiku, jak i niektóre jej krewne w innych krajach, we wszystkiem dostrzega intrygę obcoplemienną. W danym wypadku biały pies w czerwonej budzie wywołał przed oczyma stróżów pruskich widmo powstania duńskiego. I właściciel nieprawomyślnego zwierzęcia otrzymał z urzędu policyjnego wezwanie: »albo zabić białego psa, albo przemalować czerwoną budkę na inny kolor; kombinacya bowiem kolorów białego i czerwonego, jako będących narodowemi kolorami Danii, jest na ziemi pruskiej niedopuszczalna«.

Czyny szaleńca. W nocy z 4 na 5 września w małej wirtembergskiej wiosce Mühlhausen, liczącej zaledwie 800 mieszkańców, popełnił nauczyciel ludowy Wagner w przystępie jak się zdaje ostrego szału, szereg zbrodniczych zamachów. Zarówno przebieg zbrodni, jak i towarzyszące okoliczności stanowią niezwykły wypadek obłędu. Przebieg zajścia był następujący: W nocy około godziny 1 ludność Mühlhausen zaalarmowały okrzyki o pożarze. Tuż obok szkoły płonęła duża stodoła. Przerażeni mieszkańcy wylegli na ulice i dostrzegli tam biegnącego mężczyznę, który na zapytanie, co się stało, wydobył rewolwer i położył trupem na miejscu jednego z włościan. Mężczyzna ten miał na twarzy czarną maskę i głowę otuloną szalem. W szalonym pędzie puścił się do górnej wioski i wkrótce wybuchły tam w rozmaitych miejscach płomienie i rozlegać się poczęły strzały. Przerażeni i bezradni mieszkańcy sądzili w pierwszej chwili, że na wioskę napadła banda złoczyńców, która w kilku miejscach podłożyła ogień. Tymczasem rozszerzyła się wiadomość, że człowiekiem w masce jest nauczyciel ludowy z pobliskiej wioski Degerlach. Chłopi pospieszyli do górnej wioski, i zastali tam leżących na ziemi kilka trupów. Mężczyzna z maską z dwóch rewolwerów dawał bezustannie ognia do każdego, kto się doń zbliżał. Na sobie miał pas rzemienny, który mieścił 250 naboi. W przeciągu kilku minut ofiarą strzałów padło 20 ludzi; 8 osób padło na miejscu, 12 odniosło ciężkie rany. Gdy morderca sięgnął do pasa, by nabić rewolwery ponownie, rzucił się na niego policyant i kilku robotników kolejowych, by ubezwładnić szalonego. Stawiał zacięty opór i dopiero po długiej walce zdołano go skrępować, zadawszy mu kilka ran. Z pomocą rannym od strzałów rewolwerowych pospieszyli dwaj lekarze, którzy przybyli z pobliskiej miejscowości Waihingen. Tymczasem stwierdziła policya w wiosce Degerlach w której Wagner pełnił obowiązki nauczyciela ludowego, że przed udaniem się do Mühlhausena, Wagner wymordował całą swą rodzinę. Żonie zadał kilka śmiertelnych ciosów nożem w szyję, czworo dzieci dwóch chłopców i dwie dziewczynki zastrzelił. Przed opuszczeniem Degerlach Wagner napisał list do dyrektora szkoły ludowej. w którym zawiadamia o swym czynie. Mieszkańcy Mülhausen do dziś dnia nie mogą zdać sobie dokładnie sprawy z przebiegu zdarzeń straszliwej nocy. Trzech ludzi otrzymało śmiertelne rany. stojąc w oknach swych domostw, innych dosięgły kule na ulicy. Wagner miał zamiar, jak się okazało z jego notatek, spalić całe Mühlhausen. Spłonęło w rzeczywistości pięć domów i stodoła będąca własnością jego teściowej. Z początku nie chciano wierzyć, że wszystkie te zbrodnie są dziełem jednego człowieka. Z ranionych przez Wagnera osób zmarło na drugi dzień jeszcze dwie. Ogółem jest 10 osób zabitych. Z 10 rannych stan kilku jest beznadziejny. Wagnera przewieziono pod eskortą do miejscowości Vaihingen, po opatrzeniu ran, które otrzymał podczas szamotania się z policyantem i starającymi się go ubezwładnić robotnikami, i które są lekkie i nie zagrażające życiu. Wagner liczy lat 35, jest alkoholikiem i na tem tle zapewne powstały u niego zaburzenia umysłowe, które tak straszne pociągnęły skutki.

Objaw ciemnoty. Z Królestwa Polskiego pisze korespondent do jednej z tamteszych gazet: »Bawiąc w Łowickiem, w Królestwie Polskiem, spotkałem pewnego wieśniaka, dźwigającego zawiniątko. Wdawszy się z nim w rozmowę, dowiedziałem się, iż córka jego choruje na suchoty, przeto za poradą kumoszek, wykąpał ją w balii i wodę z suchotami niesie do rzeki, aby ją wylać na bieżącą wodę; miało to być skuteczne na omawianą chorobę i po kilkunastu dniach, chora miała wstać z łóżka. Pomimo mej perswazyi, ojciec chorej nie dał się przekonać i wodę do rzeki zaniósł«. — Dodać należy, iż ta wieś znajduje się o 10 wiorst od Łowicza, niema szkoły, a do najbliższej, położonej o 3 wiorsty, uczęszcza zaledwie kilkoro dzieci, procent przeto analfabetów jest ogromny.

Wydalanie żydów z Królestwa. W Berdyczowie od szeregu lat wśród urzędników kancelaryi władz rządowych znajdował się pewien zastęp urzędników-żydów. Obecnie, jak donoszą pisma warszawskie, nadeszło rozporządzenie gubernatora kijowskiego, żeby wszystkich tych żydów wydalić. Jak obliczono, urzędników-żydów było w Berdyczowie dwudziestu kilku.

Wieś ofiarą śmierci głodowej. Z rosyjskiej wyspy Nowaja Zemlja przyszły straszne wiadomości o głodowej śmierci 100 rodzin rybackich. Przed mniej więcej 4 laty urządziło jedno z Towarzystw rybackich z Archangielska na wysepce Nowaja Zemlja, skład ryb i niezadługo sprowadziło się tam kilka rodzin, które zatrudniały się rybołowstwem. Od czasu do czasu zajeżdżały do mieszkańców No-

wej Zemlji małe parowce rosyjskie, które dostarczały im różnych prowiantów na okres dłuższy i zawierały wędzony towar. Ostatnia zima była jednakże nadzwyczaj ciężka, tak, że odjazd był wprost niemożliwy, morze bowiem zamarzło zupełnie, a wszelkie usiłowania, by dostać się do mieszkańców odciętych od świata, spełzły na niczem. W Rosyi utracono zupełnie wiadomość o małej kolonii rybackiej i dopiero teraz, gdy wyruszyła tam jakaś ekspedycya naukowa, dowiedziano się o okropnym losie nieszczęśliwych mieszkańców. Z całej wsi nie pozostała ani jedna osoba przy życiu. Mieszkania były zupełnie opuszczone i do połowy zrujnowane przez burze. Dookoła wsi leżały szkielety mężczyzn i kobiet, oraz dzieci w przeróżnych pozycyach. W jednem z mieszkań znaleziono dziennik, w którym ostatni z rybaków tamtejszych opisuje grozę cierpienia, jakie przebywać musieli.

2.000 nowych szkół w Serbii. Rząd serbski zabrał się energicznie do pracy oświatowej w nowozdobytych prowincyach. Otwartych tam ma być 2.000 szkół i w tym celu rząd tworzy odpowiednią ilość posad dla nauczycieli. Spodziewają się żywego napływu na posady te Serbów, poddanych austryackich.

„Czerwony Krzyż“ w walce z cholerą w Serbii. Wysłane do Serbii z Austryi, na życzenie rządu serbskiego, laboratoryum pod kierunkiem lekarza pułkowego Dra Müllera, rozwinęło swoją działalność w miejscowości Cacaku z początkiem sierpnia. Zaraz w dniu przybycia ekspedycyi austryackiej zaszedł przypadek śmierci, jak podejrzywano, na cholerę. W 24 godzin później stwierdzono w laboratoryum, że przyczyną śmierci istotnie była cholera azyatycka. Dotychczas przeprowadzono 80 badań, wśród których w 32 przypadkach rozpoznano cholerę. Wypadki cholery zachodzą głównie w okolicy Cacaku, a mianowicie w Krusewaczu, szczególnie wśród jeńców tureckich. Lekarze ekspedycyi austryackiej mieli w leczeniu swem 7 chorych, z tych jeden przypadek był śmiertelny. Zastosowane przez lekarzy austryackich nowoczesne leczenie cholery wlewaniem rozczyniu soli w żyły i wewnętrznem podawaniem nalewki jodowej, dało świetne wyniki lecznicze. Chorzy w najcięższym zapadzie, w stanie beznadziejnym do szpitala przywożeni, pod wpływem wlewań »jakby na nowo do życia wracali«. Prócz badań pracują również lekarze misyi austryackiej w szpitalu cywilnym, gdzie 200 chorych pozostaje pod opieką jednego lekarza szpitalnego. Obok szpitala tego są umieszczone baraki choleryczne. W szpitalu wojskowym, mającym obecnie pomieszczenie w dawnych koszarach, znajduje się 500 chorych. W miejscowości Pożega, o 2 godziny od Cacaku oddalonej, przebywa 300 rannych; prócz tego kilkuset rannych znajduje się w Krusewaczu. Wojskowe władze sanitarne w porozumieniu z cywilnemi poczyniły daleko idące środki ochronne, celem zwalczania cholery, której zwiększenia i rozwleczenia obawiają się podczas rozbrojenia.

Jak kochał swoje skrzypce. Niedawno doniósł ze łzami w oczach jakiś biedny skrzypek włoski policyi paryskiej, że skradziono mu jego jedyny skarb, starą spuściznę po pradziadku, mianowicie skrzypce »Stradivaryusza«. Policya była bezradną, skrzypce się nie znalazły, a biedny muzyk włoski popadł w nędzę, gdyż wzbraniał się choćby tylko tknąć innych skrzypiec. W tych dniach zrozpaczony i smutny szedł jedną z ulic, gdy nagle z pewnego podwórza usłyszał tony skrzypiec. Padrone (tak się nazywał biedny artysta) przystanął, aby lepiej się przysłuchać i natychmiast rozpoznał głos swego ulubionego instrumentu. Wpadł na podwórze, porwał muzykanta ulicznego za kołnierz i mimo jego protestu zawlókł go na policyę, gdzie istotnie się okazało, że skrzypce były skradzione. Rozpoznano je jako własność Padrone'go i że naprawdę jest to stary i bardzo cenny instrument włoski. »Poznałem je natychmiast«, oświadczył rozradowany muzyk, »poznałbym je po głosie pomiędzy tysiącami, ale co mnie najbardziej bolało w tej chwili, to ta okoliczność, że grano na nich tak źle i fałszywie«.

Wypadek podczas manewrów. Straszny wypadek wydarzył się niedawno podczas ostatnich manewrów we Włoszech. Kilka szwadronów pułku huzarów »Roma«, oraz kilka pułków ułanów »Savoia« i »Montebello«, szły naprzód jako straż przednia w okolicach Somy i Lombardyi, i miały przeprawić przez rzekę Ticino. Pionierzy zbudowali most i jako pierwszy, wjechał nań szwadron ułanów z pułku »Montebello«.



Most podczas przemarszu załamał się i 24 ludzi wpadło wraz końmi do rzeki, która w tem miejscu jest bardzo głęboka. Oficerowie rzucili się na ratunek tym, którzy nie umieli pływać. Gdy zatrąbiono na zbiórkę, okazało się, że dwóch żołnierzy utonęło w nurtach rzeki, kilku zaś jest rannych od spadających belek mostu. Nasza rycina przedstawia chwilę załamania się mostu.

Straszne upały w Belgii. Jak donoszą z Brukseli, panowały tam w ostatnich dniach okropne upały i burze. Znaczna liczba ludzi zmarła z powodu udaru słonecznego. W Brukseli padło na ulicy kilka kobiet, rażonych udarem. Koło Bauvignees, gdzie się odbywały manewry, podczas burzy strzelił piorun w oddział żołnierzy i zabił kapitana, kilku zaś żołnierzy poranił.

Śmierć w roztopionem żelazie. W pewnej angielskiej hucie żelaznej zdarzył się straszny wypadek. Z niewiadomych przyczyn wybuchł kocioł, którego żelazne części wpadły w grupę robotników pracujących przy roztopionem żelazie. Dwóch robotników wpadło do płynnego metalu i spłonęło. Skutkiem katastrofy 4 osoby poniosły śmierć, 15 zostało ciężko rannych.

Wzlot ślepca samolotem. Na polu lotniczem w Hemdon, w Anglii, zabrał jeden z lotników w podróż napowietrzną ślepca Rotersa jako pasażera. — Kiedy po wylądowaniu zapytano Rotersa, jakie odniósł wrażenia podczas lotu, odpowiedział: »Zdawało mi się, że byłem przez 10 minut w niebie«.

Straszliwy tajfun (wicher) szalał w Japonii i wyrządził, zwłaszcza w Tokio, olbrzymie szkody. Około 20 osób zginęło. Setki mostów zostało zburzonych. W Tokio 15.000 domów stoi pod wodą.

Mądry sędzia chiński. Pewną młodą dziewczynę, w myśl zwyczajów chińskich, w bardzo wczesnej młodości zaręczono z niejakim Czia. Narzeczony był bardzo ubogi, a rodzice jej nie byliby od tego,

ażeby z »świeżo rozkwitłej róży«, jak nazywali córkę swoją, wyciągnąć jak najwięcej korzyści, chętnie też przyjmowali zabiegi i wizyty dwóch bogatych młodzieńców, nazwiskiem Ping i Ji. Gdy jednak zbliżał się już czas, w którym dziewczyna powinna była wyjść za mąż, ubogi Czia wystąpił z prawami swemi. Ponieważ rodzice nawet słyszeć o tem nie chcieli, zwrócił się on do sądu. Na rozprawę stawili się także dwaj bogaci młodzieńcy, którzy przez obrońcę swego dowodzili, że dawny sposób zawierania małżeństw powinien być zaniechany i że dziewczynie zostawić należy swobodę wyboru. »Świeżo rozkwitnięta róża« nie namyślała się długo i wybrała bogatego Ji. Teraz zabrał głos sędzia, który przemówił w te mniej więcej słowa: »Rodzice twoi zaręczyli cię z panem Czia, z którym zawarli umowę odpowiednią. Pan Czia czekał lata na ciebie, dopókiś nie wyrosła, uważając cię za narzeczoną swoją. I nagle przychodzą dwaj inni, którzy mu ciebie chcą odebrać. Z twojej przyczyny powstał spór trzech rodzin i porozumienie jest niemożliwe. Byłoby najlepiej, gdybyś nie poszła za żadnego i wybrała śmierć dobrowolną, a wówczas rodziny te pogodziłyby się i nie miałyby nienawiści do siebie«. Dziewczyna oświadczyła, że zgadza się i chce umrzeć. Wtedy sędzia kazał woźnemu przynieść pigułkę, która »sprowadzi śmierć niezawodną i bez cierpień«. Dziewczyna blada jak trup, połknęła pigułkę, poczem sędzia zapytał, który z młodzieńców chce zająć się pogrzebem dziewczyny, a musi on być uroczysty, jak przystało na bohaterkę. — Obaj bogaci konkurenci pokiwali przecząco głowami i zniknęli czemprędzej. Biedny Czia ujął za rękę drżącą ze strachu dziewczynę i odprowadził ją do domu. Po przybyciu do domu siedzieli oboje w milczeniu, w oczekiwaniu śmierci dziewczyny. Śmierć jednak nie przychodziła, a w dwa dni po wyroku odbyły się zaślubiny Czia z »świeżo rozkwitniętą różą«.

Rumak afrykańskiego władcy. Afrykański król Zonmaon XII panuje nad ludem Dassów, którzy długie lata prowadzili uporczywą wojnę z sąsiednim ludem Aszantami. Dassowie nie mają kawaleryi, gdyż niema u nich koni. Zdarzyło się, że szef misyi francuskiej w Dahomeju, jenerał Baillond ofiarował królowi Dassów wierzchowca. Lecz w państwie Zonmaona panują takie upały, że konie, kąsane poza tem przez niebezpieczne bąki i moskity afrykańskie, znieść ich nie mogą. Uległ im i rumak władcy.



Generał nie dał jednak za wygranę. Kazał ściągnąć skórę z konia, wypchać i ofiarował wypchanego rumaka królowi. Uradowany król dosiadł natychmiast rumaka i dosiada go co dnia, wyjeżdżając na nim na przejażdżkę. Rozumie się, spokojny ów rumak stoi na wózku, wózek zaś ciągną ministrowie jego królewskiej mości. Wygląda to zabawnie, a jazda na takim rumaku nie naraża na żadne niebezpieczeństwo.

Strzały do trumny. Osobliwy wypadek towarzyszył pogrzebowi Auguste'a, prezydenta murzyńskiej rzeczypospolitej Haiti. Po ceremonii religijnej w kościele, czarni żołnierze otrzymali polecenie dać salwę ze strzelby na znak ostatniego hołdu zmarłego. Żołnierze ci jednak skierowali swoją broń ku trumnie prezydenta i podziurawil ją licznemi kulami, broń bowiem była nabita ostrymi nabojami. Oczywiście na widok asystujący przy obrzędzie umknęli z kościoła, a żołnierze, zapytani o przyczynę tego szczególnego »hołdu«, odpowiedzieli: »Nie byliśmy pewni, czy Auguste istotnie umarł«. Zmarły prezydent był nienawidzony przez wojsko i nie jest wyłączone podejrzenie, że był otruty.

Jak wynagradzano lekarzy w Babilonie? Wśród zwalisk Babilonu znaleziono cegiełki, na których wówczas pisano, z następującemi rozporządzeniami; za operacyę, dokonaną »swoim nożem«, chirurg otrzymuje 10 srebrnych szekielów (12 koron); za kość złamana i złożoną — 7 szekielów. Jeżeli operacya nie uda się i pacyent umrze, lekarzowi będą obcięte obie ręce. Jeżeli tym pacyentem jest niewolnik, lekarz musi kupić panu nowego niewolnika.

Jakich języków używa się w Palestynie? Palestyna liczy około 650.000 mieszkańców. Najbardziej posługują się językiem arabskiem, szczególnie ludzie na wsi. Przez szkoły francuskie jest ten język w kraju dosyć rozpowszechniony. Język hebrajski w ostatnich łatach rozszerzył się szczególnie wskutek usiłowań Syonistów. Jest on językiem wykładowym w szkołach żydowskich, słychać go na ulicach w Tyberyas, Safad i nad jeziorem Genezaretskiem. Językiem niemieckim posługuje się 8.000 ludzi. Około 80.000 używa tak zwanego żargonu, t. j. mieszaniny języka żydowskiego i niemieckiego. Języka angielskiego używa około 5.000 osób; słychać go szczególnie na stacyach misyjnych i od podróżnych. Języka tureckiego używają przeważnie urzędnicy i oficerowie.

Owady ludzkiem pożywieniem? Pewien dziennik francuski utrzymuje, rzekomo na podstawie badań uczonych, że ciała rozmaitych owadów zawierają wiele pożywnych i smacznych materyj i mogłyby służyć ludziom za pokarm zdrowy, smaczny i tani. Podobno astronom Laland zazwyczaj udawał się przed obiadem do ogrodu i tam zjadał kilka tuzinów świeżych gąsienic, wybierając okazy najtłuściejsze dla nabrania apetytu. Na stole jego znajdował się zawsze zamknięty koszyczek pełen pająków, o których astronom twierdził, że przypominają mu najdelikatniejszy smak orzechów, gąsienice zaś migdałów. Znaną jest również rzeczą, że mieszkańcy Peru uważają pewien gatunek gąsienic jedwabnika za największy przysmak. Indyanie brazylijscy łakomi są znowu na gąsienice, żyjące na liściach bambusu, inni lubują się w glistach, mrówkach, poczwarkach i t. d. Ten sam dziennik twierdzi, że młode majowe chrząszcze stanowią doskonałe pożywienie, podaje nawet przepis przyrządzenia z nich zupy. Pewien angielski podróżnik ułożył nawet cały jadłospis z następujących potraw: zupa z chrząszczów, solone ślimaki, czerwone mrówki z oliwą i octem, świerszczyki smażone na maśle, szerszenie na mleku, paszteciki z gąsienic, ciasteczka z czerwiu i glisty w miodzie. Dobrego apetytu!

Miłosierdzie a żebracy. Wiara nasza nakazuje, byśmy pamiętali o biednych i potrzebujących. Grozi nawet karami tym, którzy nie okazują miłości bliźniemu, w uczynkach swoich. Między uczynkami miłosiernymi Kościół umieścił takie przepisy: łaknącego nakarmić, nagiego przyodziać, podróżnego w dom przyjąć. Dlatego też duchowieństwo zawsze

urządzało dla starców przytułki, dla chorych szpitale, dla sierot i dzieci, pozostawionych bez opieki, ochrony i szkoły, w których chowało je na ludzi pożytecznych. Ale co innego nędza, a co innego lenistwo. W ostatnich czasach namnożyło się u nas żebraków różnych, co niemiara. Między proszącymi o wsparcie znajdują się rozmaici próżniacy. Udają oni nieraz kalectwa i choroby, wyłudzając grosz od łatwowiernych. Potworzyły się całe bandy żebraków zawodowych, grasujących szczególniej po jarmarkach i w miejscach cudownych. Za granicą żebractwo prawie nie istnieje. Tam z funduszów gminnych pozakładano przytułki, w których znajdują pracę i utrzymanie prawdziwie potrzebujący. U nas rzadko kto wgląda w to, jak żyją żebracy. Tymczasem wielu żebraków zostawia po sobie znaczne majątki, gdy wielu prawdziwie potrzebujących przymiera z głodu, wstydząc się żebrać. Od czasu do czasu podają gazety szczegóły z życia żebraków, dowodzące smutnego stanu moralnego tych ludzi. Oddają się oni przeważnie rozpuście i pijaństwu. Ale czytelnicy niewiele zwracają na to uwagi i w dalszym ciągu, gdy spotykają »dziadków«, odczepiają się od nich bezmyślnie dawaną jałmużną. Miłosierdzie chrześcijańskie, do którego jesteśmy obowiązani, musi być rozumne.

A zatem powinniśmy domagać się na zebraniach gminnych i w gazetach, by każda gmina, każda parafia utrzymywała swoich prawdziwie ubogich, a władze zabraniały dziadom krążyć po kraju. Wtenczas wyzysk ustanie: w swojej parafii próżniak nic nie otrzyma, bo ludzie wiedzieć będą, że wsparcia nie potrzebuje, że go nie wart. W rozleglejszych gminach i parafiach ubodzy powinni mieć świadectwo, że są nimi prawdziwie. Dla prawdziwie potrzebujących, każda parafia powinna mieć przytułek i ze składek dawać ubogim odpowiednie utrzymanie. — Inaczej, jałmużna, zamiast na pożytek, idzie często na szkodę samego żebraka i społeczeństwa całego. Zdarza się też nieraz, że wyrodne dzieci, odebrawszy od rodziców majątek, nie chcą im dawać utrzymania i wysyłają ich na żebraninę, daleko od stron rodzinnych. Gdyby każda parafia utrzymywała swoich ubogich, a obcym nic nie dawała, dzieci nie mogłyby postępować tak nikczemnie: sam wstyd wobec krewnych i znajomych, jak również odpowiedzialność przed gminą lub parafią nie pozwoliłyby na taką niegodziwość.

Ile kosztuje nowoczesna armata? Fabryki armat trzymają zazwyczaj w tajemnicy ceny, które otrzymują za swe wyroby Dlatego jest rzeczą wielce pouczającą, jeśli przypadkiem tajemnica wyjdzie na jaw. Pewne państwo zagraniczne nabyło swój najnowszy materyał dla artyleryi polnej w pewnej fabryce francuskiej i zapłacić za niego musiało następujące ceny: za armatę polną 16.500 franków, a wóz dla amunicyi 6.000 franków, za wóz bateryjny 6.500 franków, za kuźnię polną 3 600 franków, za wóz furażowy 2.300 franków. Nabój armatni kosztował 28 franków. Zatem koszta za bateryę o 4 działach z wozami amunicyjnymi i t. d. i 312 nabojami dla każdej armaty wynoszą razem okrągłą sumę 185.000 franków. Ceny te są bardzo wielkie skutkiem wielkiej konkurencyi na tem polu we Francyi. W innych wypadkach fabryki otrzymywały za kompletną bateryę 200 do 300 tysięcy franków. Rzeczoznawcy utrzymują, że lufa armatnia wytrzyma najwyżej 4.000 do 5.000 strzałów. Czas, który nabój potrzebuje do przebycia lufy wynosi tylko jedną setną część sekundy. Stąd wynika ciekawy fakt, że lufa armatnia przez całe swoje »życie« pracuje w ogniu właściwie tylko 50 sekund.

Podziękowanie „Wiśle“ Ludowemu Towarzystwu wzajemnych ubezpieczeń we Lwowie.

Tęgoborze dn. 16 sierpnia 1913.

Podpisany dotknięty został klęską pożaru dnia 25 czerwca b. r., który zniszczył całe zabudowanie, zostawiając mnie wraz z żoną i 3 dzieci bez dachu. Jedynem szczęściem w nieszczęściu było to, że szkodę miałem ubezpieczoną w naszej Ludowej »Wiśle«. To też wydelegowany ze strony Dyrekcyi »Wisły« likwidator w obecności zastępcy »Wisły« w Tęgoborzu, taksatorów gminnych, naczelnika gminy i znawców po sumiennem i dokładnem zbadaniu szkody, wyrządzonej w moich budynkach, ubezpieczonych na kwotę 2000 kor., obliczyli pozostałości niespalone na 100 kor., a resztującą kwotę 1900 kor. jako wynagrodzenie szkody już po kilku dniach otrzymałem. Poczuwając się przeto do wdzięczności, gdyż znalazłem jedyną pomoc w mem nieszczęściu w dyrekcyi »Wisły» i za sumienne wynagrodzenie poniesionej szkody składam serdeczne staropolskie »Bóg zapłać!« Sądzę przytem, że postępowanie w tak szlachetny i uczciwy sposób powinno zbudzić z uśpienia wszystkich braci włościan i jak jeden mąż powinni popierać tę instytucyę, która jest daleko korzystniejszą, niż wszystkie inne i powinni ubezpieczać budynki tylko w swojej Ludowej »Wiśle«, gdzie już kilkaset wypadków za tem przemawia. W naszej okolicy sumienność taka tego Towarzystwa zainteresowała wielu gospodarzy, którzy tłumnie pośpieszyli z ubezpieczeniami do Towarzystwa »Wisły«.

Szymon Kowalczyk, gospodarz i organista w Tęgoborzy m. p.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Władysław Fiałkowski w G.: Wierszyk zupełnie dobry, więc w miarę miejsca umieścimy. — St. Wrona w H.: Książek z historyą roku 1863 jest dużo i po różnej cenie. Niech się Pan zwróci po cennik do księgarni Gebethnera w Krakowie. — Wilhelm Cieśla w S.: Wolno Panu. — Kazimierz Nekvapil w N. S.: Z zagadek skorzystamy. — Michał Więcław w N.: Potrzeba dwie klasy gimnazyalne lub trzy wydziałowe. Korespondentem dziennika może być każdy, kto potrafi dobrze pisać; płaca zależy od umowy. Listu żadnego nie zwracaliśmy, chyba żeby poczta sama to uczyniła, jeżeli list był zamało opłacony, gdyż takich listów nie przyjmujemy. — Ak...ir: Wszystko dobre, szczególniej »Przed ożenkiem«. — Michał Jaworski w W.: Do druku trzeba pisać koniecznie po jednej stronie papieru, gdyż na przepisywanie nie mamy czasu, a nadto tylko dobrze napisane utwory drukujemy, gdyż poprawki zabierają dużo czasu. — Stanisław Kochanek w M.: Piękny Pański artykuł, z małą zmianą przy końcu, przeznaczyliśmy do kalendarza na rok 1914, Dziękujemy.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 8 września:

Pszenica	Kor.	10·75	do	11·25	za 50 k.
Żyto	„	8·20	„	9·—	„
Jęczmień	„	8·—	„	8·60	„
Owies	„	7·50	„	8·25	„
Otręby pszenne	„	5·80	„	6·00	„
Otręby żytnie	„	5·80	„	6·00	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 8 września:

Buhaje	Kor.	100	do	300	za sztukę
Woły	„	300	„	400	„
Krowy	„	130	„	240	„
Jałówki	„	96	„	240	„
Cielęta	„	36	„	73	„
Owce i kozy	„	22		25	„
Świnie bita waga)	„	170	„	180	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył Józef Woś).

Pięknym darem Boga jest trzecia i piąta,
Zaś drugie i czwarte trzymają się kąta,
Są to zwierzęta małe, strzegą nas od szkody,
»Puść w trąbę« pierwsze czwarte, bo wpa-[dniesz do wody.
Piątego czwartego krawcy używają,
Gdy nam odzienie ciepłe sporządzają.
Całość znacie dobrze, jest na całym świecie,
Cóż jest więc? Pomyślcie, zgadniecie.

2. SZARADA.

(Ułożył Józef Woś).

Pierwsze mówicie z niedowierzaniem,
Drugie w aptece pewnie dostaniem.
Wprost czwarte, wstecz trzecie konia nazywają,
Dwie części trzeciego i czwarte fasoli dodają.
Całość to rzecz bardzo pożyteczna,
Bo grzeje i świeci, ale.. niebezpieczna.

3. SZARADA.

(Ułożył Józef Woś).

Pierwsze jest to zwierz domowy,
Drugie? Francuski pisarz przecie,
Całość to sprzęt pokojowy.
Jak się nazywa? Pomyślcie, zgadniecie.

4. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Zydroń).

Pół pierwszej z drugą czwartą wszystko rodzi,
Pół pierwsza trzecia czwarta lud wywodzi,
Wstecz pierwsza płynie, wprost drugi bodzie.
Całości, panno, szukaj w ogrodzie.

5. SZARADA.

(Ułożył Jędrzej Czarnik).

Jak z tyłu, tak z przodu i bez troski,
Przeczytaj i powiedz, który to król polski?
Dodać jeszcze mogę, lecz mi to nie miło,
Że jego panowanie Polskę zgubiło.

6. SZARADA.

(Ułożył Jędrzej Czarnik).

Drugie z pierwszem znamy, gdy dług mamy,
Trzecie z drugiem do przeciwnika się odzywamy,
Drugie trzecie miasteczko wskazuje;
Pierwszego trzeciego krawiec potrzebuje.
Całość miasteczko w sanockim powiecie,
Wyszukajcie nazwę, to się wnet dowiecie.

7. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Filek).

Czwarte i pierwsze to wiele krajów ujrzymy,
Pierwsze i trzecie w zimie przed sobą widzimy.
Drugie i trzecie, myszy tam siadają,
A trzecie i czwarte obrazy zdobne mają.
Całość to znana z różnych krajobrazów,
Gdy się tam wejdzie, zobaczy odrazu

8. SZARADA.

(Ułożyła Zofia Pawłowska).

Pierwsza wśród cudnej natury
Odbija niebios lazury...
Od sąsiednich gór podnóża,
Uchodzi ku głębiom morza,
By w tęczowym ich krysztale
Pogrążyć swe modre fale!
Co zaś do drugiej i trzeciej,
Wiadomo każdemu przecie,
Że właściwość jej natury
Kręte linie i kontury...
Całość bardzo pospolita:
Pierwsza z roślin wiosnę wita,
I ostatnia wśród traw znika,
W samym końcu października.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, pięknie oprawną książkę.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 20 września 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 35 »Roli«: 1. Arytmogryf: **Brodziński-Wiesław.** 2. Szarada: **Wycieczka.** 3. Przeplatanka: **Nie urągaj cudzej biedzie, bo twoja za tobą jedzie.** 4. Szarada: **Batory.** 5. Zagadka: **Gąbka.** 6. Kwadrat magiczny: **Kora, osad, rana, Adam.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: W. Łabudek z S., Kazimierz Szydlik z D., Ludmiła Dobrzańska z W., Fr. Nowak z J., A. Gwóźdź z L., Fr. Teper z M. K., Szczepan Niezabitowski z S., Józef Woś z O., Zofia Oraczewska z Ż., Jan Filipiak z T., Jan Grucel z S., J. Hirszberg z K., Kaz. Filipiak z S., St. Ekert z L., A. Szarek z S. W., L. Stańczyk z T., Józef Kłaptocz z Cz., K. Nekvapil z N. S., W. Malczyk z K., Michał Dudek z Ż., Wł. Gąsior z Rz., Fr. Wratny z D., St. Ziomek z Ś., St. Wrona z H., W. Kubik z S., Wł. Stefański z G., W. Miśniak z P., Jan Błotnicki z D., Fr. Stańczyk z Z., Wilhelm Cieśla z S., Adam Warchoł z Z., W. Bober z H., A. Konieczko z H., K. Suchodolski z H., Jan Kuc z J., P. Bochnia z T., J. Mika z K., J. Wojnar z M. G., Józef Synowiec z S., M. Więcław z N., L. Wicijowski z N., F. Zydroń z D., J. Waszek z J.

Nagrodę p. t. ***Krzyżacy*** wylosował p. **Kazimierz Szydlik** z D.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.